0. 68613

KS. ALOJZY WAROL T. J.

# NA CO NAM ZAKONY?

ŁUCK
— DRUKARNIA KURII BISKUPIEJ —
1 9 3 6

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA KUL

1000177317

68

ODBITKA Z „ŻYCIA KATOLICKIEGO"

KS. ALOJZY WAROL T. J.

# NA CO NAM ZAKONY?

ŁUCK
— DRUKARNIA KURJI BISKUPIEJ —
1936

NIHIL OBSTAT

*Can Sigismundus Chmielnicki*
Censor librorum

IMPRIMATUR

† *St. Walczykiewicz*
Episc. aux.

*Sac. T. Szyszkiewicz*
Vice-Cancellarius

58613
BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA K.U.L.

Nr. 1321.

*Luceoriae, d. 22 Februarii 1937 an.*

64/439/1711 d.

# WSTĘP

Ludzie świeccy wogóle — zwłaszcza z tak zwanej inteligencji — bardzo mało wiedzą o zakonach. Jeżeli zaś co wiedzą, to przeważnie z ujemnej strony, tak, jak słyszeli od innych podobnych sobie — i wyczytali w liberalnych pismach i książkach.

Gdy się w rozmowie z nimi potrąci o klasztory, to co najgorszego, najpodlejszego z ich ust wyjdzie: że to darmozjady, pasożyty, nieuki i prostaki, ciężar i plaga społeczeństwa, intryganty—i najbrudniejsze pomyje na nich leją.

Nawet nasz pewien arystokrata-magnat uniósł się gniewem, gdy zauważył, że jego syn, młodzieniec, bywa u zakonników w klasztorze i nosi się z myślą, by się przyłączyć do nich. Czynił wyrzuty prowincjałowi, że mu mnisi syna buntują. Byłby wstyd, jak się wyraził, dla jego familji, gdyby go obleczono w habit.

Prowincjał, sam pochodzący z panów, człowiek znacznego wpływu, wziął się ostro do jaśnie pana. „Co pan sobie myślisz? Za co masz zakonników? Za pośmiewisko, poturadło, kryminalistów, wyrzutków społeczeństwa? Co ty masz za

pojęcie o Kościele, o religji i o Chrystusie? Co znaczą twoje herby, protoplasty (przodkowie), koligacje, wobec godności i dostojeństwa, które spływają na zakonnika przez jego szczególne związanie się z Chrystusem?..” Taki mu paternoster wyciął.—Ów syn magnacki nie wstąpił wprawdzie do klasztoru, ale zajął w hierarchji kościelnej wysokie stanowisko.

Taka jest ignorancja o zakonach, że ze mną, Jezuitą, sprzeczał się dosyć wysoki urzędnik, twierdząc, że Jezuici nie są zależni od papieża—że to stowarzyszenie chodzi luzem, samopas, nie oglądając się na żadną władzę kościelną. Nie bardzo chciał wierzyć, gdym mu wyjaśniał, że w takim razie nie różnilibyśmy się od hoduraków, lutrów i prawosławnych. Dopiero gdy jego żona, uświadomiona katoliczka w rzeczach kościelnych, zabrała się do niego i mnie poparła — skapitulował i zamilkł. Widocznie większy miał przed nią respekt.

Uprzedzonych do zakonników wprowadzimy poza furtę klasztorną. Na pierwsze wejrzenie zrobi im się może niedobrze: spokój, cisza ich przygnębi. Woleliby wejść do sali balowej, na miejsce zabaw, tańców, muzyki, gdzie huczno, gwarno, figlarnie.

Ale gdy się rozglądną, pobędą czas niejaki, wszystkiemu się dokładnie przypatrzą—to zobaczą, że i tu można wyżyć — nawet szczęśliwie i wesoło. Gdy się rozczytają w kronikach—poinformu-

ją się, co przedstawiają obrazy wiszące po ścianach i poznają historję wymalowanych bohaterów i bohaterek—to się im takie myśli w sercu obudzą, jak św. Ignacemu Loyoli, gdy przed swem nawróceniem leżał ranny w szpitalu i czytał Żywoty Świętych — jedyną książkę, która się wówczas znajdowała w tymże szpitalu i którą z początku niechętnie wziął do ręki.—Gdy się rozczytał i poznał poświęcenie się męczenników dla Boga i wzniosłych celów — to się zawstydził. — „Ja, rycerz, zwracam uwagę na blask ziemski i na damy. Przed niemi chcę się popisywać i poklask zbierać. Ci zaś krwawi bohaterzy Chrystusowi życie dla niebieskich celów oddają! Cóż ta moja brawura i samolubstwo znaczy wobec ich ofiar i poświęceń!" Takiemi myślami był przejęty w chorobie ów późniejszy zakonodawca—bohater Chrystusowy i Święty!

— Chodźcież więc, panowie wolnomyślni, do klasztoru! Przypatrzcie się, co zakonnicy i zakonnice robią—czem się trudnią?

Zobaczycie ich:

1° przy ogniu, którego strzegą, który podsycają, roznoszą po świecie i innych nim ogrzewają i zapalają.

Zobaczycie,

2° jak uchylają od nas różne gromy, nieszczęścia, koją i rozbrajają gniew boży — wypraszają miłosierdzie i inne łaski.

Zobaczycie,

3° jak spełniają różne uczynki miłosierdzia ze samarytańską uczynnością i poświęceniem.

Zobaczycie,

4° jak cywilizują dzikie plemiona i narody — i takich nawet, co się sami uważają za cywilizatorów i kulturalnych ludzi. Przerabiają samolubne, spaczone charaktery, ukształcają obyczaje słowem i piórem.

Zobaczycie,

5° jak nabywają świeckiej wiedzy i jak ją podają w swoich szkołach i innych swoich zakładach wychowawczych.

Zobaczycie,

6° jak się rządzą, jak się obchodzą z podwładnymi. Nauczycie się od nich tej sztuki nad sztukami — czego głównie potrzeba, żeby rządy były pomyślne i szczęśliwe.

Zobaczycie także,

7° ich błędy i słabości—ale się temu nie zdziwicie, bo i oni są ułomnymi ludźmi. Te zaś ich błędy nie u wszystkich wpadają w oczy — nie są takie, jak je malują uprzedzeni—a w porównaniu do ich cnotliwego życia wyglądają jak plamy na słońcu — albo mała skaza na wspaniałej królewskiej szacie.

W następnych rozdziałach szerzej i dokładniej przypatrzymy się tym wszystkim czynnościom w zakonach.

## ROZDZIAŁ I

### JAK SKŁADAJĄ OFIARĘ?

**Podsycają—strzegą—roznoszą ogień boży.**

Czy wiecie, co to były owe Westalki, o których można znaleźć w książkach częstą wzmiankę? Było to grono dziewic pogańskich, które strzegło i podsycało ogień na cześć bogini Westy. Westa zaś w wyobraźni pogan była uważana za opiekunkę ziemi, karmicielkę i żywicielkę ludzi i zwierząt swojemi płodami. Nazywano ją także Oybele. — Na cześć tego bóstwa stawiano świątynie. Szczątki takich budowli, dosyć dobrze zachowane, można jeszcze obecnie oglądać w Rzymie i w innych miejscach.—U Litwinów za ich pogańskich czasów ogień święty zwał się „Zniczem", pielęgnowany z wszelką starannością przez pogańskich duchownych.

Westalki musiały żyć w dziewictwie, odznaczać się czystością obyczajów. Miały przywileje nadzwyczajne. Przy publicznych występach i uroczystościach zajmowały pierwsze miejsce—mogły skazańca, prowadzonego na miejsce stracenia, obronić przed karą śmierci, gdy się pod ich opiekę uciekł.—Głównem ich

zajęciem, jak się powiedziało, było utrzymywanie świętego ognia przez dorzucanie doń paliwa.

Zakony nasze — zwłaszcza żeńskie, kontemplacyjne czyli bogomyślne—można przyrównać do Westalek. I one bowiem podsycają, strzegą, roznoszą ogień boży. W jaki to sposób?

Dusza nasza zarośnięta jest chwastami, zielskami, pasożytami różnych żądz i namiętności. Zakonne osoby te chwasty wycinają, składają we wiązanki—łączą opaską i rzucają na ogień! Chwastów, szkodliwych pasożytów w duszy jest bardzo wiele, różne są ich gatunki. Wszystkie jednak pochodzą z trzech korzeni.

Co to za korzenie? Co to za wiązanki i ich opaski?—Jeden z korzeni nazywa się: pożądliwość oczu—drugi: pożądliwość ciała—trzeci: pycha żywota. — Zna je każde dziecko z katechizmu.

### Pierwsza wiązanka

składa się z tego, czego oko nasze pożąda. Pożąda zaś majątku, jaknajwięcej własności i posiadłości, czyto w dobytku rolnym, gospodarczym—czy w przedsiębiorstwie przemysłowem, handlowem, rzemieślniczem, w spekulacjach giełdowych i innego rodzaju—czy w ubraniu, stroju — czy pokarmie i napoju czy w wygodach i urządzeniach mieszkania, w wykwintnych meblach, ozdobach, szumnych pompach i innych zewnętrznych okazałościach — aby żyć nietylko

wystarczająco, ale i dostatnio, zbytkownie, luksusowo, przyjemnie. Owa pożądliwość czembądź się nie zadowolni— ale ustawicznie pragnie czegoś więcej. Choć się wzbogaci i nie wie, co robić z tem, co posiada — ciągle i ciągle posuwa się, jak polip, w swych pragnieniach. Jeżeli zaś nie może nasycić swych pożądań i pragnień nie może zadowolnić—to przybiera formę zazdrości. Gryzie się sama — gryzie często innych szczęśliwych i majętniejszych swym zazdrosnym językiem—szemraniem, narzekaniem, podjudzaniem przeciw kapitalistom — gryzie strajkami i buntami — gryzie samego Boga, bo go posądza o niesprawiedliwe rządy i brak opieki nad ludźmi uciśnionymi.

Te chwasty i szkodniki osoby zakonne zbierają, układają w wiązanki, wiążą opaską i rzucają na ogień. Jak się ta opaska nazywa? Ślubem ubóstwa. W niektórych zakonach ten ślub jest bardzo ścisły—w niektórych trochę wolniejszy. Miarą jego, to konstytucje czyli ustawy zakonne, potwierdzone przez najwyższą władzę kościelną.

Młodzieniec ewangeliczny zapytał się Jezusa: „Co mam czynić, abym pozyskał żywot wieczny?". Zbawiciel w odpowiedzi kazał mu zachowywać przykazania.—„Wszystko to od młodości czyniłem,—rzecze ów młodzieniec — co jeszcze mam więcej czynić?" — *Sprzedaj wszystko co masz—i idź za mną!*

— Sprzedaj nietylko wolą i przywiązaniem, bo do tego każdy—i najbogatszy—jest obowiązany, ale sprzedaj, gdyby tego była potrzeba, uczynkiem, t. j. bądź gotów poświęcić co posiadasz w obronie i zachowaniu wiary. Wyprzeć się wiary, aby dobra ziemskie ocalić i zachować, znaczyłoby tyle, co swoje mienie, własność wyżej cenić niż Boga. Gdy cię nawiedzą nieszczęścia np. pożar, powódź, bankructwo, proces chytry, niesprawiedliwy, różne klęski elementarne—nie upadaj na duchu, nie poddawaj się rozpaczy, nie bluźnij Opatrzności bożej, ale z cierpliwym Jobem powiedz: „Bóg dał — Bóg wziął. Niech będzie imię Pańskie błogosławione!".

Osoby zakonne w swej sprzedaży posuwają się jeszcze dalej.

Wyzuwają się z mienia osobistego, pozbywają się go ślubem ubóstwa — ogołacają się zupełnie. Stają się dobrowolnymi żebrakami. Więcej, bo dziad ze swoim kawałkiem chleba, ze swą odzieżą, może postąpić, jak mu się podoba. Osoba zaś zakonna nie może na swoją rękę niczem szafować — chyba upoważniona przez swą władzę. Różni się tylko tem od żebraka, że ona dobrowolnie wyzuwa się ze swego mienia, żebraka zaś do tego los zmusza.

Powiecie na to:

Jeżeli się wszystkiego pozbędą, wszystko rzucą na ogień miłości bożej, to cóż im zostanie?

— Zostanie im wszystko — jak to o zakonach przysłowie mówi: „Nic nie mają—wszystko posiadają". [1])

Została zakonnicą dama, pochodząca z książęcej familji, bardzo bogata. Przeznaczono ją do obsługi chorych w szpitalu. Pod jej opieką pozostawał chory, zamożny obywatel, ale niedowiarek. Wiedząc o tej Siostrze, że jest niezwykłych zalet, śledził ją oczyma i szukał sposobności, by się z nią wdać w dłuższą rozmowę.

„Siostra — mówi — dozna wielkiego zawodu, jeżeli ze śmiercią wszystko się skończy".

„Wszelkie moje zawody już się skończyły, gdym przywdziała suknię zakonną" — odpowiedziała Siostra.—„Czy pan myślisz, że to przyjemność posiadać wielkie dobra? Co przytem zmartwień, kłopotów i zawodów! Ja się tego pozbyłam i czuję się szczęśliwą. — Jakiby mię zresztą mógł zawód spotkać, gdyby poza grobem nic nie było? Czy pan jesteś zupełnie pewny, że Boga niema i że pana nie przywoła z rózgą na tamtym świecie? Pewności mieć nie możesz — co najwyżej wątpliwość: Może jest — może Go niema — to jedyny pański argument — ale argument mglisty i słaby. Moje argumenty (dowody), że Bóg jest, w których się tu w klasztorze wzmocniłam — są pewne, niezbite, bar-

[1]) Nihil habentes et omnia possidentes.

dzo rozumne. Za ich pewność mogę i życiem ręczyć.

A pan co? Czy pan niepodobny do tego podróżnego, co przechodzi przez wielką rzekę i nie wie, jak głęboka? Od nikogo się nie dowiaduje. Czy to mądrość? Wchodzisz pan do ogromnego lasu, gęstego, ciemnego, pełnego dzikiego zwierza — ale bez broni. Czy to roztropnie? W każdym razie: Czy jest życie za grobem, czy go niema — moja pozycja jest lepsza, rozumniejsza i bezpieczniejsza, niż pańska. Troski, intrygi, obłuda świata odbijają się od mych murów klasztornych. W samych zaś murach mam towarzystwo osób szczerych, uczciwych i sprzyjających. W niem mam pomoc, otuchę, zaspokojenie potrzeb materjalnych i duchownych. Do jakiegokolwiek domu zakonnego przybędę, jestem pewna, że mię czeka wygoda, wystarczające pomieszczenie i posiłek, życzliwe serca i inne potrzebne środki do życia. — A czy w pańskich warunkach jest to samo? Czy pan możesz liczyć na szczerość i uczciwość swoich domowników i sąsiadów— na ich pomoc, bezinteresowną gościnność—na ich życzliwe serce? Bardzo wątpię! Wiele Bogu oddałam — ale jeszcze więcej od Niego otrzymałam".

Co zatem zostanie jeszcze osobie zakonnej po spaleniu pierwszej wiązanki?

Zostanie to, co w Ewangelji po łacinie nazywa się „Centuplum" czyli stokrotna nagroda i tu na ziemi i w nie-

bie: *Wszelki, któryby opuścił dom albo braci albo siostry albo ojca albo matkę albo żonę albo syny albo rolę dla imienia mego: tyle stokroć weźmie i żywot wieczny odzierży* (Mat. 19, 29).

Przyszła pewna pani razem ze swemi dziećmi do klasztoru, aby odwiedzić swoją siostrę. Kiedy zakonnica weszła—ona w płacz i szlochy. — „Co ci jest? Czemu płaczesz? Widzisz przecie, że ja tu nie we więzieniu i jest mi dobrze!" — „Właśnie na łzy mi się zebrało, bo widzę twoje szczęście—takaś wesoła, swobodna — szczęście ci tryska z twarzy! Czemu ja nie poszłam w twoje ślady, gdy mogłam i była pora odpowiednia? Wyszłam zamąż. Kłopotów, zmartwień coniemiara i ze strony dzieci i ze strony prowadzenia domu i nawet ze strony mego męża, kapryśnego i niewiernego człowieka. Życie mi obrzydło—największemu wrogowi go nie życzę. Ach! Siostro, zazdroszczę ci twojego powodzenia w murach klasztornych!".

*Szukajcie najpierw Królestwa Bożego i sprawiedliwości jego—a to wszystko będzie wam przydane!*

### Druga wiązanka i opaska

W tej drugiej wiązance jaka zawartość i opaska? Opaska nazywa się ślubem czystości.

Materjał, zawartość, paliwo samo w sobie jest chwastem, pasożytem — ale w oczach bożych ta ofiara ma wielką

wartość. Tak jest wzniosła, subtelna i nie łatwo dostępna, że o niej Chrystus wyrzekł: *Kto może pojąć—niech pojmie*—to znaczy, że nie każdy jest zdolny, aby to pojąć—a tem bardziej wykonać, zaopatrzyć się w tę cnotę i złożyć swoje poświęcenie na ołtarzu miłości bożej!

To się rzuca w ogień, co ludzie wogóle uważają za największą pociechę—za najsmaczniejszą przyprawę życia, szczęście — ludzie nawet uczeni, szlachetni rodem, zajmujący wysokie stanowiska społeczne. — Szukają tej przyprawy w nieprzyzwoitych książkach, w bezwstydnych obrazach, rzeźbach obrażających wstydliwość, w nieskromnych strojach—apoteozują czyli uwielbiają w powieściach romansowych i w poezji, w teatrach, kinach. Tak się przed tą namiętnością upokarzają i upadlają, że się stają jej sługami, niewolnikami, dostawcami żywności—uwodzicielami i lubieżnymi rozpustnikami. Miłość płciowa była zawsze czynnikiem pierwszorzędnym w pieśniach, powieściach. Bez niej nic nie smakuje, nie ma uroku lektura, zabawy, bale, wizyty i znajomości.

Świat sądzi, że bez tego nie można się obejść—że to konieczne wymaganie natury, której powinno się dogodzić, i myśli, że człowiek wobec naporu zmysłowości i jej ataków jest bezwładny.

W dzikich krajach, gdzie misjonarz poucza o piękności cnoty czystości, o

konieczności zwalczania lubieżnych popędów, krajowcy nie chcą mu wierzyć. Myślą, że on inaczej uczy, a inaczej sam postępuje, śledzą go, podglądają, zaczajają się w nocy w jego mieszkaniu, patrząc i obserwując, jak on się zachowuje. Gdy zaś nic skandalicznego nie dostrzegą, jego powaga u nich wzrasta. „Ta nauka—mówią—którą on głosi, musi być boska". Czyste życie misjonarza wystarcza im za cuda i pobudki nadprzyrodzone do przyjęcia wiary Chrystusowej.

Lecz nietylko u dzikich podejrzywa się kapłana-misjonarza, że on skrycie dogadza swej namiętności—a zewnętrznie gra rolę gorliwca i świętoszka. U nas wystawia się także osoby Bogu poświęcone pod pręgierz podejrzenia — usprawiedliwia się przez to swoje cielesne wybryki, krytykuje, nicuje, posądzając żyjące w celibacie osoby o ukryte przestępstwa—nie dowierzając, żeby mogły mieć tyle siły i woli odpornej, aby się uchronić i obronić przed tą grzeszną skłonnością.

Ludzie tak się uganiają za zaspokojeniem żądz zmysłowych, że hazardują czyli wystawiają nawet swoje życie na zgubę, aby zwierzęcej słodyczy zakosztować. Gdy się znajdzie przeszkoda na tej cuchnącej drodze, to przemocą, podstępem usuwa się ją. Mordują się, strzelają, pojedynkują, targają się na swoje i cudze życie—rywali przebojem się pozbywają, podsuwając im truciznę,

knując zasadzki, zakładając sidła, aby ich zgładzić i po ich trupie dostać się do rozkoszy, wymarzonej uciechy.

Kult ciała i jego zwierzęcych instynktów wytwarza zawsze swawolny indywidualizm czyli egoistyczne, samolubne pragnienia. Usiłuje zrzucić pęta ze siebie, nałożone jednostce przez religję, ustawodawstwo, tradycję i obyczaj, usiłuje wyrwać się z pod wszelkiej władzy. Uczy historja, że w tej walce wybujałego egoizmu i samolubstwa z obowiązkiem staje w pierwszym rzędzie zawsze zmysłowość, seksualizm. Zaczyna się to niby niewinnie pod ochroną ładnych frazesów, jak „szukanie pokrewnej duszy"—a kończy się na apoteozie (uwielbieniu, ubóstwianiu) wolnej miłości i na zmysłowej, rozpustnej podniecie — na pornografji. — I to się podoba bezkrytycznym młokosom męskim i żeńskim, postępowcom, uświadamiaczom, którym się zdaje, że dość pozbyć się „kawałka sumienia, głupiej uczciwości i wstydliwości", by się stać nadczłowiekiem i podobać się zawodowym uwodzicielom, lubieżnikom i rozpustnikom. — W tem widzą kulturę, postęp, oświatę, bohaterstwo, wielkość! — Do tego stopnia zaciemnia im pożądliwość ciała i jego zwierzęcych instynktów drogę życia, że nie widzą, jak i oni i całe społeczeństwo leci na łeb na szyję w bagno zwyrodnienia seksualnego, zgnilizny fizycznej i moralnej!

W zakonach bierze się pożądliwość ciała na łańcuch—zakuwa się w kajdany. Instynkty płciowe, zwierzęce, wiąże się opaską ślubu czystości i tę wiązankę rzuca się w ogień, aby to, co zwierzęcego, w nim się spaliło i przemieniło w płomień miłości bożej.

Jakie z tego korzyści?

Gdy kult ciała osoby zakonne zamieniają na kult Boga—strona duchowna się podniesie. Przeciwwaga cielesna, ciśnienie zmysłów osłabnie, znacznie się zmniejszy. Zrodzi się w nich tężyzna ducha—zabłyśnie, wzniesie się polot do rzeczy wyższych, idealniejszych — podniesie się i nabierze siły duch ofiarności i poświęcenia. Dusza uczuje odprężenie i będzie zdolna, skora do rzeczy najszczytniejszych.

Znany i zasłużony były burmistrz wiedeński, Lueger, zapytany, czemu się nie żeni — odpowiedział: „Gdy się ożenię, będziecie mieć tylko połowę Luegera—druga połowa będzie poświęcona małżonce".

Przybył z Chin superjor misji do Europy, aby werbować pomocników do tej pracy. Ogłosił, że będzie miał wykład w tej materji: Jak wygląda praca misyjna wśród pogan, jakich wymaga pracowników, jakiego poświęcenia? W sali dużej, ozdobionej obrazami scen męczeństwa, wypowiedział długą przemowę, kładąc głównie nacisk na brak misjonarzy. — Po wykładzie, gdy przy-

stąpiono do dyskusji i różni różne podnosili uwagi i rady podawali, wyrwał się pewien młodzik i bawidamek z takim projektem: „To niech się misjonarze żenią! Ich synowie pomnożą zastępy misjonarzy!" — Na to superjor odpowiadając, wskazał na obraz, gdzie było przedstawione, jak dzikusy obdzierają ze skóry misjonarza, odcinają mu członki ciała, krew jego przelewają. — „Patrz, młody i wygodny człowieku, na to! Zapewne miękko i luksusowo żyjesz. Czy chciałbyś zamienić rolę owego męczennika? — Gdyby ten misjonarz miał żonę, a ta zbolała, zapłakana, rzuciłaby się z dziećmi przed nim na kolana, błagając, żeby ich nie opuszczał, nie osierocał—czyżby ten misjonarz-męczennik nie uległ pokusie? Czyżby nie wyparł się sprawy bożej dla żony i pokrewieństwa? A gdyby się wyparł, czyby wielu nawrócił i pozyskał dla chwały bożej?— A tak żyjąc w bezżeństwie, łatwiej i chętniej poświęca się swej sprawie. Nikt mu nie przeszkadza — miłość ziemska, zmysłowa nie bierze góry nad miłością ku Bogu—idzie ochotnie na męczeństwo i przez to daje świadectwo swej nauce: że trzeba Boga kochać nadewszystko— niczem się nie zrażać—na żadne przeszkody nie uważać — rozszerzanie Jego Królestwa jedynie mieć na celu". Podobał się ów wykład—przypadł do gustu publiczności i pozyskał wielu kandydatów do uprawy pola misyjnego wśród pogan.

Mówią, że życie zakonne w celibacie szkodzi zdrowiu. Na to odpowie się przykładem:

Napoleon I, cesarz francuski, chciał kasować klasztory pod tym pozorem, że życie zakonne działa zabójczo na człowieka. W gruncie rzeczy przyczyną była chciwość. Chodziło właściwie cesarzowi o zagrabienie dóbr, posiadłości zakonników — nie o ich zdrowie. — Zebrało się stu starców zakonników z różnych klasztorów, z których każdy prawie po sto lat liczył. Na swoje lata wyglądali jak rydze, zdrowo i czerstwo. Gdy razem stanęli przed Napoleonem, tak powiedzieli: „Słyszeliśmy, cesarzu, że nas chcesz wygnać z klasztoru, bo sądzisz, że nam życie zakonne szkodzi. Patrz na nas! Nosimy nasz habit zakonny prawie już 80 lat — żyjemy według reguł—pilnujemy czystości obyczajów— nikt nam nie potrafi zarzucić żadnych niemoralnych wykroczeń. Patrz, jak wyglądamy! Jak czerstwe życie tryska z naszego oblicza! Śluby zakonne są nam murem, ochroną przeciw nieprzyjaciołom zdrowia"...

Podobno ten oczywisty, naoczny dowód nic nie pomógł, bo go cesarska chciwość zwyciężyła.

Inny dowód. Dwóch księży zakonnych bardzo już starych znało całe miasto Tarnopol (Małopolska). — Znało ich z cnoty i poświęcenia. Jeden z nich (O. Reichenberg) zajmował się ubogimi, opuszczonymi— za co mu miasto wspa-

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA K. U. L.

niały pogrzeb wyprawiło i ładny pomnik wystawiło. Zajmował się także malarstwem — a niepoślednim pędzlem wykonał ładne obrazy. O tych dwóch księżach zakonnych tak się wyraził fizyk miejski, izraelita: „Znałem ich od najmłodszych lat mego długiego życia i mogę przysięgać, że to święte osoby, czyści jak łza. Na nich widać, że zakonne życie i zachowanie dziewictwa nietylko żadnej szkody nie przynosi — ale i zdrowie wzmacnia".

Największe powagi lekarskie twierdzą, że powściągliwość płciowa zbawienny wpływ wywiera na organizm. Jeżeli się ją jeszcze szczególną opieką otoczy t. j. obwaruje ślubem czystości, to i dusza i ciało wiele na tem zyskuje.—Przeciwnie, niepowściągliwość, nadużycia płciowe przyczyniają się do rozstroju. Odbierają i marnują te soki i zasiłki w ciele ludzkiem, które stanowią pokarm serca, mózgu, nerwów i kości pacierzowej. Pozbawiają organizm świeżości, energji—rozdrażniają nerwy, zaciemniają pamięć, przytępiają bystrość rozumu — czynią młodzieńca starcem, matołem.

Poskromienie i okiełzanie żądz cielesnych wywiera również dobry wpływ na zniewieściałe umysły. Widzą w osobach zakonnych, że z pokusą zmysłową można sobie dać radę, można nie być jej niewolnikiem, nad nią panować, trzymać na wodzy—i być szczęśliwym. Można nią pociągać ludzi do Chrystu-

sa, który tę cnotę i Sam ukochał i nam często zalecał.

### Trzecia wiązanka i jej opaska

Co się na tę wiązankę składa? Pycha żywota i jej nieodrodne dzieci.

Bardzo bujny i płodny to korzeń. Własności pychy można po tem poznać, że przyznaje sobie to, czego nie ma — albo, jeżeli ma, to nie tyle, ile sobie przyznaje, przypisuje.—Dzieci lub, jak kto chce nazwać, gałązki jej i latorośle — to chełpliwość, pragnienie czci, honoru, wyszczególnienia, okazałości. Do tej rodziny zalicza się pogardę innych, przecenianie swych zasług, blagę.

Obłuda jest bardzo bliską jej krewniaczką i kuzynką. Mile wygląda na twarzy, ale w sercu podobna jest do Judasza.

Z chwastu pychy rodzi się uporczywość czyli upór, twarde obstawanie przy swojem zdaniu lub widzimisię.

Dziwną własność można w pysznym człowieku zauważyć, jakiej trudno spostrzec w innym występku. Powiedz mu, że jest opojem, żarłokiem, złodziejem, krzywdzicielem i nawet rozpustnikiem— to mu te przydomki przelecą koło ucha, i niewielkie na nim często zrobią wrażenie. Powiedz mu: Ty zarozumialcze, pyszałku! Obrazi się zwyczajnie i ostro się postawi, broniąc swego honoru. Pochodzi to stąd, że pycha jest tak żądną sławy, że nawet przez upokorzenie do

swego celu zdąża. Pomaga jej w tem jej córka, której na imię bezczelność.

Jest więc dużo materjału do związania i do spalenia. A cóż wiąże paliwo pychy, co je łączy i opasuje? Ślub posłuszeństwa.

Pycha zapuszcza korzeń głównie w naszej woli. Tu się gnieździ, bo tu żeru ma dosyć. Wola jest słaba, chwiejna, zmienna, objawia większą skłonność do złego niż do dobrego. Tak ją nastroił grzech pierworodny. Zadał jej rany, które trudno uleczyć. Ślub posłuszeństwa występuje w roli lekarza — a chociaż choroby zupełnie nie usunie, wiele jednak i zdrowej medycyny podaje, aby wolę w dobrem utrzymać i ustalić. Bandaż czyli opaska tego ślubu działa cudownie na wolę.

Ci, którzy zakonów nie lubią, mówią, że takie krępowanie woli ślubem osłabia jej moc, twórczość, czyni człowieka niewolnikiem, odbiera indywidualność czyli samodzielność, tamuje ruch umysłowy i do wyższych polotów źle nastraja, czyni niezdolnym. Czy to prawda?

Ogień żelazo miękczy, w płyn zamienia. Miękczy, ale nie zepsuje. Wyrabia na stal, pozwala nadawać mu różne, prześliczne artystyczne formy i kształty.—Ogień boży z wolą człowieka podobnie czyni. Do dobrego ją zaprawia i ogrzewa — hartuje w wytrwałości najlepszych postanowień—nadaje kształty cnoty, doskonałości, świątobliwości— uwalnia od serwilizmu (służalstwa) stwo-

rzeń—czyni ją panią siebie i gotową do poświęceń najwznioślejszych. Wiąże ją bowiem i spaja z wolą Bożą, jak drobne i słabe drzewko—przywiązuje się do pala, do mocnej, stałej podpory, aby się wśród wichrów i burz nie złamało.

Polot woli, indywidualizm czyli samodzielność, twórczość, ruch umysłowy przez ślub posłuszeństwa w zakonach wiele zyskuje. Ułatwia on swobodę ducha, rozszerza horyzont umysłowy. Literat, pisarz, badacz naukowy w zakonie ma więcej środków do studjów, więcej pomocy, niż uczony na świecie. Profesora, badacza naukowego świeckiego troska o utrzymanie, o środki materjalne odrywa od studjów—nie ma nieraz dostatecznego funduszu na kształcenie się, na książki, na naukowe podróże—brak mu rad, wymiany myśli, reklamy do rozpowszechnienia wyników pracy.—W zakonie z tem niema biedy. Wszystkie naukowe środki są dostępne, łatwe do osiągnięcia. Pracuje dla całości, — a ta całość Zgromadzenia zakonnego dostarcza mu wszelkich przyborów, aparatów, wsparcia, pomocy. Wszystkich członków zajmuje, interesuje jego praca, wszyscy się cieszą, zachęcają i korzystają z indywidualnych wysiłków jednostki, pojedyńczego członka zakonnego.

W innych również przedsięwzięciach i poczynaniach zakonnych cały zespół korzystny, sprzyjający bierze udział. Jak w rodzinie, w spółkach, zjednoczeniach, przedsiębiorstwach handlowych, prze-

mysłowych całość zbiera owoce z pomysłów, wynalazków, udoskonaleń jednego członka — tak i w zakonie. Praca indywidualna, osobista, stokrotnie się procentuje przy wspólnych, braterskich zabiegach i staraniach.

Niechętni wychowaniu zakonnemu i zakładom naukowym, zostającym w rękach duchowieństwa, podnoszą zarzut: że kościelne naukowe instytucje nie mają takich środków edukacyjnych, jakie mają zakłady świeckie, np. w świeckich uczelniach znajdują się wielkie bibljoteki, zasobniejsze gabinety fizyczne, chemiczne, zoologiczne, mineralogiczne, obserwatorja astronomiczne i t. d.

Najpierw ogólnie na rzecz patrząc— widzimy we wielu zakładach duchownych takich środków obficie wystarczająco — a może nieraz więcej i lepszych niż w świeckich uczelniach. Po drugie. Zakłady naukowe świeckie w swoich bibljotekach, w swoich zbiorach książkowych i malowidłach przechowują — bez żadnej kontroli—wiele trucizny moralnej i religijnej, dostępnej wszystkim, i starszym i młodzieży. Nie wychodzi to na pożytek edukacyjny!

Po trzecie. Nie chodzi nam tu o środki i czynniki edukacyjne dodatkowe, przypadkowe, poboczne, drugorzędne, błyskotliwe, olśniewające świecką wiedzą — albo o środki i czynniki edukacyjne podstawowe, zasadnicze, fundamentalne, moralne. Bez nich niema prawdziwej edukacji, rzetelnej pedago-

gji, oświaty i kultury. — O tem będzie mowa w rozdziale piątym, gdzie się szerzej rozwinie tę ważną i potrzebną kwestję: Na czem polega należyta pedagogja czyli dobry sposób wychowywania młodego pokolenia?

* * *

Jeszcze jedna uwaga: Skąd się bierze początek, iskra, zarzewie, co ten ogień roznieca i trzy wiązanki chwastów pochłania?

Ogień sam ze siebie nie zapala się— sam się ze siebie nie rodzi. Zapala on wprawdzie swój materjał palny, ale musi się z jakiejś iskry wydobyć, czyto przez tarcie, czy przez krzesanie, czy przez podłożenie innego ognia.

Kto i co podpala te trzy wiązanki i ogień wznieca? Gdzie iskra, gdzie zarodek, zarzewie? — Powiecie: Bóg spuszcza. Słuszna odpowiedź!—Jak tę iskrę Bóg rzuca? Przez łaskę powołania zakonnego. „Nie wyście mię wybrali—ale ja was", powiedział Chrystus do apostołów. Gdy się rozwinie starannie pielęgnowana, skłania duszę do ofiary i do poświęcenia zielsk, chwastów, pasożytów natury naszej przez śluby do związania ich i do rzucenia na ogień Bogu miły.—Ogień trawi i to, co twarde, i to, co miękkie — to, co cierniste i kolące, i to, co wonią róży pachnie. Żelazo zmienia w ciecz—nawet kamieni, skał nie oszczędza, które pod jego wpływem rozpadają się i kruszeją. — Kto czuje iskrę powołania zakonnego,

na wszystko gotów, w jakichkolwiek znajdzie się warunkach, nie zraża się, nie żałuje swej dobrowolnej ofiary. Wiernie Bogu służy i miłością pała ku Niemu, czy będzie ostro, opryskliwie traktowany—czy pieszczotami głaskany, różnemi nadzwyczajnemi łaskami obdarzany. Obejmuje ogniem miłości bożej wszystko, co się koło niego znajduje—cieszy się, gdy mu zabraknie ciepła duchownego, pociech, i duszą owładnie chłód i zimno.

W następnych rozdziałach zobaczymy: jak się ten ogień z ogniska klasztornego rozchodzi nazewnątrz—jak rozbraja, miękczy sprawiedliwość bożą — jak pobudza do uczynków miłosierdzia—jak zmienia, cywilizuje dzikie plemiona, ukształca, prostuje samolubne charaktery i samych cywilizatorów uczy kultury—jak przyświeca w administracji i kierownictwie drugich — jaką wnosi oświatę w umysły młodzieży.

*Ogień nigdy nie mówi*: *Dosyć*! (Prov. 30, 16). Niechże więc kandydat (lub kandydatka) do zakonu nie sądzi i nie roi sobie w swej fantazji, że w klasztorze będzie tylko siedział i wygrzewał się przy ogniu, jakby przy ciepłym piecu, i nic nie robił, tylko się modlił. Taki marzyciel lub marzycielka lepiej nadaje się do pustelni na anachoretę. Ale i tam bez odpowiedniego zajęcia, bez wpływu wzajemnego na otoczenie, może być tylko trutniem, który cudzem

żyje -- a sam się nie przyczynia do jego wyrobienia.

Nie, do zakonu idzie się na pracę i poświęcenie! Poświęcenie dla Boga przez śluby zakonne; poświęcenie dla bliźnich przez bezinteresowny trud apostolski dla ich doczesnego i wiecznego dobra.

Prawdziwe powołanie zakonne można przyrównać do dobrego i zdrowego żołądka. Człowiek, co z żołądkiem ma kłopoty, będzie obwąchiwał potrawy, grymasił, wybierał i przebierał—doktorom się naprzykrzał—będzie się radził, wypytywał, lękał, żeby czegoś niestrawnego nie wziął do ust. — Zdrowy zaś żołądek nie zważa na to, co podadzą do stołu, ze wszystkiego jest zadowolony—wszystko strawi, co się znajdzie w jego obrębie.

Prawdziwe powołanie zakonne ma powyższe zalety. Niewiele myśli o tem, co mu w klasztorze każą robić, jak się z nim będą obchodzić, jak odziewać i karmić, w jakiej celi umieszczą, jakich będzie miał towarzyszy. Nie żali się, nie turbuje się przyszłością — nie męczy swoich spowiedników skrupułami i obawami. Strawi i to, co cierniste, twarde i przykre — i to, co miękkie, słodkie, przyjemne.

Niejeden ojciec albo matka mówi: „Moja córka nie jest do życia zakonnego—nie ma powołania do tego"—i przeszkadza dziecku na tej drodze ku klasztorowi.

Skądże to wiecie, ojcze i matko! Czyście badali ustawy zakonne? Czyście się przypatrywali, jak żyją i co robią w klasztorach? Tam jest najważniejszą rzeczą złożenie i zachowanie ślubów zakonnych: ubóstwa, czystości i posłuszeństwa. Ponadto bez wzajemnej miłości niema i zakonności.—A więc obserwuj córkę! Czy twoje dziecko żyje skromnie—czy też się kocha w błyskotkach, świecidełkach, pudrach i szminkach—czy nie jest nieumartwione przy stole w potrawach i łakociach? Wogóle czy skromność przebija, objawia się w ubraniu, pościeli, bieliźnie, sprzętach? Jeżeli tak—więc są znaki, że i w klasztorze z ubóstwem będzie w zgodzie.

Czy nie lubi zabaw, kin, teatrzyków lekkich—książek cuchnących, romansowych i powieści zmysłowych—towarzystwa młodzieńców, zwłaszcza na osobności, w skrytości? Przedewszystkiem, czy się lubi modlić i sobie rozkazywać?—Jeżeli tak, to ślub czystości łatwo jej przyjdzie złożyć i wykonać, jak trzeba.

A czy cię słucha, ojcze, matko, bez dąsania i irytacji — czy żyje zgodnie z rodzeństwem, z koleżankami i współpracownicami — nie wadzi się, chętnie się z niemi zgadza?—Jeżeli tak, to i w klasztorze nie będzie z nią kłopotu, i stanie się dla drugich pożyteczną. Więc nie żałujcie Bogu dziecka, tem bardziej, że macie więcej dzieci, co wam pomogą przy zajęciach domowych i na po-

lu i was w chwilach starości i niedołęstwa, kalectwa nie opuszczą.

Mówicie także nieraz, wy, bogatsi rodzice, że wam ród wygaśnie, jak wasze dziecko w stanie duchownym zakończy życie w celibacie. — Czy nie lepiej, że się twój ród na księdzu i zakonniku skończy, niż na jakim lekkomyślnym światowcu, utracjuszu i bawidamku?

Niestety wyrobiło się u nas w tej mierze niesłychane skąpstwo dla Boga i coraz rzadsze są powołania wśród klas majętnych i wykształconych—a i te okupione zazwyczaj długą walką i formalnym targiem z rodzicami i familją. „Szkoda dziecka, że chce być księdzem lub zakonnikiem—szkoda córki, że się chce w klasztorze żywcem pod welonem zagrzebać!" — odzywają się głosy rodziców, zwłaszcza zasobniejszych i wyższego stanowiska w społeczeństwie.

Czy rzeczywiście szkoda?

Czy ty, ojcze lub matko, z całym swoim majątkiem i rodową przeszłością więcej Bogu chwały przysporzysz, więcej bliźniemu pomożesz, niż twój syn w sutannie lub habicie zakonnym albo córka w welonie? Czy to wielka chwała boża i pożytek bliźniego, jak ty, ojcze, rzucasz pieniądzmi na przyjemności życia, na bale, na ponętne podróże, sporty, nęcące widowiska, na miłośnice, i powoli swój i swych dzieci majątek trwonisz? — Czy to nie rzeczywista chwała boża i pożytek społeczny, jeśli twój syn,

jako kapłan, misjonarz, spowiednik, autor pożytecznych książek, niezliczone masy ludzi Ewangelją cywilizuje, moralnie uszlachetnia—majątkowo nawet podnosi, bo ich uczy dobrego życia, oszczędności, poskramiania zachcianek i innych cnót potrzebnych do doczesnego dobrobytu?—Ty, ojcze, może nic o swojej duszy nie pamiętasz, Bogu wcale nie dziękujesz za twe niemałe mienie. — Otóż twój syn, jako kapłan — twoja córka, jako zakonnica, przeprasza Majestat boży za ciebie, uchyla gromy pomsty bożej, które twoje grzechy ściągają—to twój adwokat, pośrednik, wyręczyciel przed tronem bożym!

## ROZDZIAŁ II

### Jak nas bronią?

Porównując w ostatnim rozdziale osoby zakonne do Westalek, powiedzieliśmy, że te dziewice pogańskie posiadały wielkie przywileje. Mogły np. ułaskawić skazanego na śmierć, gdy się ich protekcji powierzył.

Świat w swoim szaleństwie i buncie przeciw Bogu wiele broi i gniew Stwórcy na siebie ściąga. Dziwno nieraz niejednemu, który w duchu wiary na te zbrodnie i wybryki patrzy, że Bóg po raz drugi potopem świata nie karze, że nie sypie ogniem siarki, jak na Sodomę, lub że nie chłoszcze przestępców, jak na to zasłużyli!

Któż nas przed gniewem Bożym ratuje? Ci, których wielu uważa za głupców, zacofańców i niemądrych. Ratują nas w wielkiej mierze zakony i klasztory, bo się za nas modlą i poświęcają, bronią nas i za nas pokutują.

Mojżesz z rozłożonemi na krzyż rękami zanosi błagalną prośbę na modlitwie wśród walki Izraela z nieprzyjacielem. Żydzi zwyciężają, gdy ręce Mojżesza są podniesione, kiedy zaś opadły ze znużenia ku ziemi—walka zły obrót brała. Podtrzymują mu więc ręce i proszą, aby dalej się modlił, bo od tego zwycięstwo zależy.

Czy sobie przypominacie ze szkoły ów piękny wiersz Adama Mickiewicza pod tytułem „Powrót taty"? — jak to zbója, rabusia modlitwa dzieci rozczuliła i życie ich ojcu ocaliła?

Kupiec wyjechał daleko na długi czas kilkoma wozami po towary. Nie wraca i nie wraca. Matka stroskana posyła dzieci na wzgórze obok gęstego lasu, aby tam pod krzyżem uklękły i za szczęśliwy powrót taty się pomodliły. Głośna modlitwa dziatek zwabiła herszta zbójów. Stanął za drzewem, patrzy na gromadę i przysłuchuje się. Rozczuliły go modlitwy. Łza po zbójeckiej twarzy popłynęła.

Wtem słychać turkot wozów. Kupiec z naładowanym towarem wraca. Zbóje na dany sygnał się skupiają, tamują drogę, kupca otaczają pierścieniem, podnoszą pałki, aby go zabić

i obrabować. Wpada na to ich herszt: „Wara wam! Niechaj żaden z was tego człowieka nie tknie ani jego mienia! — Ojcze! — zwraca się rozbójnik do kupca—jedź dalej bez trwogi. Twoje dzieci cię ocaliły. — I ja mam dzieci i czuję, jak boleśnie by ucierpiały, gdybym ja żyć przestał!"

Takich Mojżeszów, którzy na modlitwie rozkładają ręce za nas, mamy po klasztorach. Zwycięstwo w boju życia należy im zawdzięczać.—Mamy także dzieci w zakonach, które się modlą o szczęśliwy nasz powrót na drogę obowiązków i cnoty, byśmy się wydostali ze zasadzek zbójeckich, zastawionych na nas przez naszych wrogów.—Modlą się za nas te dzieci boże i pomagają nam swą modlitwą, byśmy uniknęli niebezpieczeństw i bezpiecznie dostali się do przystani zbawienia.

## Klasztory ratują w nieszczęściach

W czasie wojny światowej w r. 1916 zeszła z tego świata w klasztorze w Como (Północne Włochy) zakonnica ze Zgromadzenia Sióstr Wizytek—Siostra Benigna Konsolata Ferrego, urodzona w r. 1885. Doszła do szczytu doskonałości i uchodziła za bardzo świątobliwą. Złożyła swoje życie, jako ofiarę w czasie światowej wojny na wyproszenie pokoju. Tak była znana i szanowana, że we fabrykach, około których orszak pogrzebowy z jej zwłokami przechodził,

praca ustała, a syreny fabryczne swym gwizdem wyrażały znaki żałoby. Dzieci szkolne często gromadnie do jej grobu przychodziły i kwiaty nań składały dla okazania czci zmarłej. Bóg przyjął jej ofiarę, a jej śmierć powszechnie uważano jako poświęcenie się w celu wyproszenia pokoju.

W swoich widzeniach i ekstazach dowiedziała się z nieba ta Siostra, że wojna nie jest karą sprawiedliwości, bo by zadośćuczynić za grzechy świata tego, bólu wojennego byłoby jeszcze za mało. Wojna ostatnia to tylko kara miłosierdzia, mająca za cel zbawić wiele dusz, które bez wojny stoczyłyby się w przepaść potępienia. Ma też wojna za cel skrócić czas życia wielu osób, a tem samem ochronić przed wieczną męką tych, którzy żyjąc dalej w każdym razie ściągnęliby na siebie przez swe grzechy karę piekła. Cel cierpień jest ten, aby zwrócić oczy nasze ku wyżynom niebieskim, wzniecić ogień Chrystusowej miłości, obudzić uśpioną ufność we wielkość Bożego miłosierdzia, a wzrok zapatrzony w nas samolubnych odwrócić od ziemi.

O podobnych ofiarach jak u Siostry Wizytki z Como, czyta się wiele w żywotach św. Alfonsa Liguorego, Redemptorysty—św. Teresy od Dzieciątka Jezus, Karmelitanki, i w innych życiorysach. Poświęcili i siebie i swoje wygody, przyjemności, cierpienia a nawet życie, aby innych ratować — jak ten,

który się rzuca do wody, aby tonącemu rękę podać. Widzieliśmy na brzegu morza, czy na brzegu wielkich rzek osobną straż i wartowników na łódkach, zawsze gotowych do ratowania ludzi zażywających kąpieli, gdyby się im jaka niemiła przygoda miała przytrafić.

Zakony mają cel podobny: ratunek w nieszczęściach doczesnych i wiecznych. W klasztorach urządza się szczególnie modły, nowenny; odprawia się Msze św. ekspiacyjne czyli przebłagalne o odwrócenie klęsk grożących czy to elementarnych, czy społecznych, wiszących nad ojczyzną i całym narodem; nakazuje się posty i inne uczynki pokutne rozbrajające gniew Boży.

Klasztory i ich mieszkańcy — to jakby straż ogniowa—gotowa śpieszyć czy w dzień czy w nocy, czy w czasie pogody czy burzy, aby gasić płomienie pomsty Bożej i odwracać je od ludzi, którzy na nie zasłużyli. Klasztory to jakby piorunochrony, które ku sobie ściągają gromy piorunów, aby je od innych oddalić; to obrońcy i adwokaci, którzy przed trybunałem Bożym przemawiają za nas przestępców i bronią nas przed zasłużoną karą.

## Klasztory fortecami Kościoła wojującego

Zakony i klasztory są również fortecami dla armji Kościoła wojującego. Na

nie najbardziej godzą wrogowie wiary i religji; w nie uderzają całą siłą odszczepieńcze oddziały heretyckie. Gdzie tylko rozpocznie się prześladowanie Kościoła, to na pierwszem miejscu w te fortece godzą najbardziej zaciekłe ataki. Bo w tych fortecach ćwiczy się i uzbraja cnotą, nauką duchowną i świecką młodzież zakonna, tam nabywa wiadomości potrzebnych do walki ze sobą i do boju z wrogami, gotuje broń i amunicję do wojennych zapasów o Chrystusowe królestwo.

Z tych fortec wypadali i robili wycieczki zakonnicy na różne strony, gdzie widzieli zagrożone pozycje wiary przez heretyków i schizmatyków. Przypomnijcie sobie znanych, głośnych rycerzy zakonnych, jak synów św. Dominika, którzy buntowniczych Albigensów, szerzących demoralizację, waśniących społeczeństwo, rozdzierających jedność Kościoła, swoją pracą i trudem przywoływali do zgody i posłuszeństwa władzy.

### Przykłady

Przypomnijcie sobie św. Jana Kapistrana († 1456), zakonnika bernardyńskiego, który z woli papieża czynił wiele zabiegów, aby husytyzm i inne odszczepieństwa na drogę prawdy i karności kościelnej sprowadzić; jak on napracował się, aby powaśnionych ówczesnych książąt skupić i przeciw potędze tureckiej uzbroić! Zazdrość, intrygi, współzawodnictwo tychże książąt psuły

mu plany. Wiele obiecywali, a niczego nie dokonali. Wówczas sam werbował i zaciągał wojska, sam starał się o ich zaopatrzenie, wlewał otuchę i pod Belgradem świetnie bisurmaninowi dał się we znaki. Na pewien dłuższy czas powstrzymał tureckie zapędy, które groziły zagubą chrześcijaństwu i kulturze europejskiej. Armja chrześcijańska więcej się na niego oglądała niż na powagę i rozkazy swych wodzów.

Bawił też i u nas w Polsce w ciągu około dziewięciu miesięcy i swym wpływem wiele nam dopomógł. Ówczesny król, Kazimierz Jagiellończyk, chociaż uchodził za katolika, nie bardzo harmonizował z Rzymem i papieżowi rządy duchowne w Polsce utrudniał. Patrzył przytem obojętnem okiem na niektóre rażące zdrożności, zwłaszcza na lichwę, której się żydzi i inni spekulanci dopuszczali. Ów bogobojny, wymowny i dzielny zakonnik nakłonił króla do szczerej i harmonijnej współpracy z papieżem i nakłonił go do energiczniejszego wystąpienia przeciw lichwie i innym panoszącym się w kraju występkom. U nas w Krakowie przez swoje porywające kazania tak skruszył społeczeństwo i obrzydził mu zbytki, że koszami znoszono mu na rynek bawidełka, zbytkowne świecidełka, złe książki, nieskromne obrazy i palono je na stosie.

Z fortec zakonnych wybiegali misjonarze na różne strony. Z nich wypa-

dał złotousty ksiądz Piotr Skarga na protestanckich burzycieli porządku religijnego społecznego, którzy szarpali i rozdzierali jedność wiary a państwu i Kościołowi szkodzili. — Z nich zastępy franciszkańskich zakonników wychodziły na pogańską Litwę i tam krew przelewały za wiarę. Zostawili ci bohaterowie wiary świętej męczeńskie kości na pogańskiej ziemi, aby były nasieniem na nowe stokrotne żniwo. Z klasztorów wychodzili apostołowie bernardyńscy i franciszkańscy na wschodnie strony między prawosławną schizmę, aby ją połączyć z Rzymem w jedności wiary katolickiej! Tworzyli, jak je nazywano „Apostolskie drużyny", czyli grono „Braci Pielgrzymujących", którym przewodził także zakonnik franciszkański, pierwszy arcybiskup lwowski, błogosławiony Jakób Strepa (1340—1411), apostoł Rusi.

Zakon dominikański zapuszczał swoje zagony daleko na Wschód. Wiemy o tem, że św. Jacek wiele tej pracy trudu poświęcił i inni wielkiego ducha zakonnicy rosili kwią i potem te zachwaszczone niwy. Ich zbawienna robota i państwu i Kościołowi bardzo była pomocną. — Inni polscy zakonnicy rozchodzili się po Turcji, po Szwecji i tam cudów poświęcenia dokonywali. Trzebaby to studjować w bezstronnej historji, stąpać śladami tych zakonnych bohaterów, krople krwi i potu liczyć— a nie spuszczać się na to, co heretyccy

kronikarze o tem piszą i niechętne zakonom, złośliwe pismaki. Naturalną jest bowiem rzeczą, że wrogie zakonom pióra pracę ich przemilczają, albo poniżają lub we fałszywych przedstawiają kolorach i obrzucają błotem swego nieuctwa, nienawiści i uprzedzeń.

Przypomnijcie sobie szczególnie zakonnika Paulina, księdza Augustyna Kordeckiego — jak to on Polskę z rąk drapieżnych Szwedów wydarł, jak swoją ufnością i nabożeństwem ku Matce Boskiej wlał otuchę w hufce nasze, a te jak lwy, przepędziły wroga za morze i ojczyznę oswobodziły!

Jak nas bronią klasztory i osoby zakonne, pokażę wam na mało znanym a ciekawym przykładzie.

Przy klasztorze OO. Reformatów w Przemyślu stoi dosyć pokaźna figura zakonnika. Był nim gwardjan OO. Reformatów w temże mieście, mówca niepośledni, kaznodzieja katedralny, O. Krystyn Szykowski. Za jego gwardjaństwa Tatarzy wpadli do Przemyśla, rabowali, mordowali, palili, zabierali mnóstwo jeńców w niewolę. Serca mieszkańców ogarnęła nadzwyczajna boleść, przygnębienie, strach, lęk, niepewność jutra. O. Krystyn to widzi i z ambony zapala do obrony. Ale słyszy takie głosy: „Cóż my tym zbereźnikom i oczajduszom zrobimy? Jakże się obronimy? Nie mamy czem wystąpić na nich, brak nam odpowiedniej broni!"

„Jakiej wy chcecie broni?" odpowiada O. Szykowski — „na taką hołotę wystarczą kosy, cepy, widły, kłonice i inne twarde narzędzia, jakich macie dość pod ręką!"„—Dobrze, ojcze duchowny! Pójdziemy — lecz ty nas prowadź i bądź naszym dowódcą!"

Zgodził się na to. Wszystko co żyło, poszło za nim. On z krzyżem w ręku, z gołą głową, boso (w swoich może drewnianych trepkach) stanął na czele, jako hetman.

Tatarzy w wiosce Pnikut, blisko Przemyśla, rozłożyli się obozem i tam, nie spodziewając się napadu, swobodnie się urządzili i rozbawili. Wyzyskał tę chwilę O. Gwardjan. Znienacka ich otoczył, wpadł, jak grom z jasnego nieba, ze swojem domorosłem wojskiem: ciął, bił, wiązał, siekał w kawałki i w puch rozbił ów „kosz" tatarski. Wdzięczni przemyślanie wystawili mu za to pomnik, który dotąd można oglądać.

Rozrzucono też między ludzi dowcipny wiersz w ulotkach o tym bohaterskim czynie zakonnika. Między innemi można było znaleźć te słowa:

„Targał sobie Tatar włosy,
Że go pobił hetman bosy..."

Zapewne czytaliście w Żywotach Świętych to, co wam w krótkości opowiem:

Było to na początku roku 1241. Niezliczone hordy tatarskie zalały wschodnią Europę, niosąc zagładę całe-

mu chrześcijaństwu. Po nieszczęśliwej Rusi przyszła kolej na Polskę. Tatarzy zniszczyli Sandomierz, spalili Kraków, wreszcie stanęli pod murami Wrocławia. Już mieli w rękach przedmieścia, już przebyli wpław rzekę Odrę, aby przypuścić szturm ostateczny. W tej groźnej chwili, w sam dzień Wielkiejnocy, zjawia się na murach twierdzy biała, wychudzona postać zakonnika w habicie dominikańskim i wznosi błagalne ręce do nieba. I niebo wysłuchało go. Nad jego głową ukazuje się jakaś dziwna ognista kula, która następnie przerzucając się na obóz Tatarów rozpryskuje się na liczne pioruny — pali i razi szyki nieprzyjacielskie. Wrocław został ocalony.

I któż to był tym oswobodzicielem miasta, kto mu tę cudowną pomoc wyjednał? To błogosławiony Czesław Odrowąż, przeor wrocławskich Dominikanów, syn ziemi śląskiej, rodzony brat św. Jacka.

Posłuchajcie jeszcze innego przykładu, jak to nawet kleryk zakonny swoją odwagą, cnotą i poświęceniem uratował życie swych braci w klasztorze.

Zdarzyło się to około roku 1835 w Madrycie w Hiszpanji. Wybuchła rewolucja i jak to zwyczajnie bywa, zwróciła swe ostrze głównie przeciw zakonom. Bezreligijni burzyciele porządku społecznego mieli na oku wielki klasztor, gdzie mieszkał prowincjał i kilkudziesięciu zakonników. Otoczyli go

swojem wojskiem i mieli zamiar wszystkich zakonników wymordować. Ojcowie, klerycy i bracia, przeczuwając niechybną śmierć, zebrali się w domowej kaplicy, aby tam na modlitwie czekać swego końca. — Wszedł tam herszt rewolucjonistów, rzucił okiem na gotujących się na śmierć zakonników i głośno się zapytał: „Jest tu między wami kleryk N.N.?" — Wywołany wstał, a herszt zwrócił się do niego: „Wyjdź ze mną na korytarz—coś ci powiem. — Wszystkich tu zaraz wybijemy. Ciebie jednak oszczędzimy ze względu na twego brata, który nam oddał pewne ważne przysługi."—Kleryk na to: „Albo wszystkich razem ze mną zabijecie—albo wszystkim zostawicie wolność! Ja pragnę dla sprawy bożej ze wszystkimi razem poświęcić swe życie".—Zebrali się ci przewrotowcy na naradę. Potem zjawił się znowu herszt w kaplicy i tak powiedział: „Dla tego kleryka wszystkim wam przebaczamy. Jego śmiałość, szlachetność nam zaimponowała i wszystkich was ocaliła. Jesteście wolni, nie tkniemy waszego mienia".

Ofiara jednego młodego zakonnika uratowała innych braci. W podobny sposób ratują nas wszystkich osoby zakonne po klasztorach w różnych nieszczęściach, broniąc przed gniewem bożym swoją pokutą, cnotą i poświęceniem.

Jeżeli wam przykładów nie zawiele i was nie nużą—to posłuchajcie jeszcze, jak braciszek świątobliwego życia ura-

towal przed głodem całą niemal wyspę, należącą do Hiszpanji, zwaną Majorka a na Śródziemnem morzu położoną.

Brat ten zakonny posiadał w świeckim stanie znaczny majątek: był kupcem zamożniejszym—wykształcenie miał wystarczające, aby mógł był zostać kapłanem. Po śmierci żony i zaopatrzeniu swych dzieci wstąpił do zakonu i wybrał stan braciszka. Przez 40 lat spełniał zajęcie furtjana we wielkim kolegjum naukowem na Majorce. Zawsze grzeczny, miły, usłużny—a tak pobożny, że wielcy i głośni ludzie polecali się jego modłom. Znał go dobrze nawet gubernator tej wyspy i bardzo go cenił. Raz głód nawiedził jej mieszkańców. Gubernator wyspy przyszedł do klasztoru i zwraca się do pokornego furtjana: „Bracie Alfonsie, módl się, bo nas głód z wyspy zmiecie, ludzie padają jak muchy, niema co do ust włożyć. Ty nas wyratujesz swą modlitwą!" — Gdy się brat Alfons do Boga zwrócił, wnet zjawiło się przy brzegu wyspy kilka towarowych okrętów, pełnych żywności. Wyładowały artykuły spożywcze i odpłynęły. Niewiadomo, skąd przybyły. Majorka została uratowana przed głodem, a wszyscy to dobrodziejstwo przypisywali biednemu braciszkowi. Biednym był on po ludzku, ale bogatym w cnoty, które go wyniosły na ołtarz i Świętym ogłosiły.

Ten to święty brat zakonny natchnął do dzieła apostolskiego swojemi

radami i zachętami św. Piotra Klawera, gdy ten był jeszcze klerykiem, a później stał się głośnym pracownikiem między czarnymi niewolnikami w Kartaginie w Ameryce Południowej. Ten pokorny brat furtjan podsuwał mu wielkie myśli o pracach apostolskich i ich zbawiennych skutkach.

On to i innych misjonarzy w ich zajęciach przedziwnie wspierał. Pewnego razu misjonarz wyjeżdżając do bardzo zachwaszczonej parafji, prosił owego brata, by się z nim na pracę wybrał.

— „Co ja tam będę robił? Nie jestem przecież kapłanem, więc nie przydam się ani w konfesjonale, ani na ambonie"!

— „Mimo to jedź ze mną! Ty więcej zrobisz, niż ja, kapłan, więcej ty grzeszników nawrócisz, niż ja mojemi kazaniami!"—Skoro się razem wybrali i rozpoczęło się kazanie, brat Alfons usiadł przy nogach misjonarza na schodkach ambony i odmawiał różaniec. Modlił się w tym celu, aby się misjonarzowi kazanie udało, t. j. żeby jego słowa weszły do serca, zmiękczyły je i do pokuty słuchaczy zapaliły. Po kazaniu najwięksi zbrodniarze dobijali się do spowiedzi Dziwiono się znakomitej wymowie kaznodziei i jej te nawrócenia przypisywano.Tymczasem poprawę grzeszników spowodował różaniec św. brata Alfonsa i jego orędownictwo przed Bogiem, jak to objawienia z nieba wykazały.

Widzicie zatem, co się robi w klasztorach? A robi się to nietylko przez kapłanów, ale i przez kleryków, braciszków i przez siostry zakonne.

---

Po przeczytaniu tych kartek, przyjdzie wam na myśl takie pytanie:

Dlaczego to prośby, modlitwy, wstawiennictwo osób zakonnych wiele mogą—walnie przyczyniają się do orędownictwa za nami, do obrony naszych spraw i interesów, nieraz bardzo zawiłych, ciemnych i niewiele rokujących nadziei?

Dlatego, że te osoby mają zazwyczaj czyste serca. Bóg takie serca lubi. One znajdują łaskę u Pana. Są to serca ofiarne, bardzo zbliżone do Serca Zbawiciela na ołtarzu. Chrystus w Eucharystji składa za nas ofiarę, — przebłagalną, dziękczynną, wypraszającą i ofiarną uległości wobec woli Ojca niebieskiego. Ofierze „Więźnia miłości", Syna Bożego, Ojciec niebieski niczego nie odmówi. Otóż osoby zakonne można także w pewnej mierze nazwać więźniami miłości. Uwięziły się dobrowolnie, aby innych wykupić i uszczęśliwić!

Wyjechał okręt z Europy do Ameryki. Na środku morza zerwała się burza — niebo zaciemniało się chmurami, wichry z taką siłą bałwany morskie podniosły, że zdawało się, iż lada chwila statek pójdzie na dno. Kapitan, człowiek religijny i praktykujący, zawołał: „Na kolana, wszyscy pasażerowie, w modli-

twie szukajmy ocalenia". Wszyscy zgięli kolana—nawet i ci co modlitwę lekceważyli i z niej się wyśmiewali. Burza jednak coraz większe i straszniejsze przybierała rozmiary. Co ów kapitan czyni? Widzi obok siebie matkę, trzymającą niemowlę na rękach. Bierze je od niej, podnosi w górę i tak się modli: „Boże! Ty nas chcesz zgubić. Zasłużyliśmy na to, bo nasze serca brudne i w Twoich oczach wstrętne. Nie patrz, Panie, na nasze serca! Patrz na serduszko tego tu niemowlęcia. Ono Cię jeszcze nigdy niczem nie obraziło. Niech jego widok ukoi Twój gniew i sprawiedliwość i odwróci od nas nieszczęście!" Po tej modlitwie wnet zaczęło się niebo rozjaśniać. Wichry się uciszyły, bałwany opadły, woda się wygładziła i okręt bezpiecznie ruszył naprzód. Widocznie niewinne serce dziecka wytrąciło gromy sprawiedliwości z rąk bożych.

Na falach życia burze prą na nas i grożą zatopieniem. Te burze często my sami ściągamy na siebie przez grzechy nasze, jesteśmy sami ich przyczyną. Bóg sięga po miecz sprawiedliwości. Otóż zakonne serca przez swe modły i życie pokutnicze wytrącają go z Jego ręki. Są bowiem, jak o Chrystusie św. Jan mówi: *„Ubłaganiem za grzechy nasze"* (I Jan 4,10).

Lecz nie koniec na tem pracy klasztornej i klasztornych zasług. Co jeszcze osoby zakonne robią, opowiedzą nam następne rozdziały.

## ROZDZIAŁ III

### Jak miłosierne uczynki spełniają?

Chrystus jest największym, boskim Samarytaninem ludzkości. Zstąpił z nieba, aby ją — odartą przez piekielnego rabusia i poranioną przez grzech—uleczył, podniósł i uszczęśliwił. — Przeszedł przez życie, czyniąc dobrze, okazując miłosierdzie, zostawiając nam lekarstwo w Sakramentach i w innych środkach zbawienia — ustanawiając doktorów w osobach szczególnym charakterem kapłaństwa oznaczonych.

Gdy odszedł do nieba, przekazał tę pracę dobroczynną Kościołowi: *„Idź i ty — czyń także"!* (Łuk. 10. 37) — to znaczy: naśladuj, moja Oblubienico, Kościele, Samarytanina i czyń tak, jak on.

Kościół w tem dziele zawsze czynny: pielęgnuje ducha samarytańskiego.

Pielęgnuje sam przez swoje dzieła i wysiłki samarytańskie — pielęgnuje przez różne stowarzyszenia religijne, duchem Chrystusa przejęte—pielęgnuje szczególnie przez zakony — pielęgnuje przez pojedyńcze osoby, które w tej pracy nadzwyczaj się wyszczególniły.

O tych trzech drogach i sposobach pielęgnowania pomówimy.

### Kościół pielęgnuje Chrystusowe miłosierdzie.

Wolnomyśliciele bolszewiccy pod tym względem wiele czynią zarzutów Kościołowi i duchowieństwu, rozpusz-

czając w swoich przewrotnych pismach oszczerstwa i obelgi. Gdzież to kościelne miłosierdzie widać? Popatrzcie na szpitale, ochronki, przytuliska, domy starców, podrzutków, umysłowo chorych, upadłych, pokutnic i inne takie instytucje bardzo liczne we wszystkich krajach, czasach, gdzie tylko dobroczynna ręka Kościoła katolickiego się rozciągała.

Pogaństwo takiego miłosierdzia nie znało. Co więcej, u pogan okazanie litości i miłosierdzia uchodziło często za słabość ducha i upodlenie. Takie zdanie o tem miały nawet wznioślejsze umysły i wyrażały je w pismach, jak filozof Seneka. — Zdarzało się, że niewolnikami, biedakami karmiono ryby, kaleki dobijano, a starych, ułomnych, zarażonych, pozbawiano życia w sposób gwałtowny i nieludzki. — To się działo w starożytnym Egipcie, w Grecji, w państwie rzymskiem, gdzie tylko obywatel rzymski był uważany za pełnoprawnego człowieka, a wszyscy inni za barbarzyńców, za motłoch znienawidzony. — Nie było prawdziwego miłosierdzia nawet u Żydów. Faryzeusze, dając jałmużnę, szukali własnej chwały, a litość zacieśniali tylko do swojego narodu.

Słynęły wprawdzie te ludy oświatą, zamożnością, przepychem, wielką i bitną armją. Stawiały amfiteatry, cyrki, w których setki, a nieraz tysiące ginęły bawiąc drugich — mordowały się ku uciesze publiki i rozrywki bogaczy i klas

uprzywilejowanych. — O miłosierdziu nie miały żadnego wyobrażenia; dla chorych, niedołężnych, opuszczonych nic nie robiły. Oprócz pogardy nic im nie okazywały.

Obecnie nawet ludzie nam współcześni, ale pogańskiego usposobienia, jakby się na tamtych wzorowali i wchodzili w ich ślady. Zakładają spółki handlowe, przemysłowe, aby majątek zwiększyć. Zawiązali kluby sportowe, aby się lepiej bawić; spółki loteryjne, fantowe, aby swoje imiona uczynić głośnemi i z ludzi zyski ciągnąć.

O ofiarności i miłosierdziu Chrystusowem wie tylko chrześcijaństwo, trzymając się Chrystusowego zdania: *„Cokolwiek uczyniliście dla najmniejszych, toście mnie uczynili"* (Mat. 25. 40). Kościół wstępuje w ślady Zbawcy—widzi Chrystusa w biednym, nagim, głodnym, opuszczonym i uwięzionym.

Powiedzą na to masoni, protestanci i inne sekty odszczepieńcze:

U nas także jest miłosierdzie i poświęcenie dla biednych. Możemy się wykazać pokaźną ofiarnością dla nędzy i celów kulturalnych.

Odpowiadając na to, przytoczę rozmowę ś. p. kardynała Koppa, byłego biskupa wrocławskiego, z cesarzową Wiktorją Augustą, pierwszą żoną obecnego ex-kaizera Wilhelma II, zamieszkałego w Holandji.

Cesarzowa znana była jako fanatyczka w szerzeniu protestantyzmu, w

przyczynianiu się do budowania zborów, w protegowaniu odszczepieńczych poczynań, w zakładaniu stowarzyszeń i instytucyj luterskich. Chwaliła się przed kardynałem z rozwoju swojej pracy: „Rozkwit i rozszerzanie się naszego wyznania — mówiła z dumą — świadczy i jest dowodem, jak wielką siłę i energję ma protestancka umysłowość, jak wielce jest płodna i ekspansywna!"

„A czy świadczy o tem, że jest należyta, rzetelna, taka jak być powinna?"— Chciał ów katolicki dostojnik powiedzieć: Czy ta protestancka siła i płodność idzie w parze z rzeczywistą nauką Chrystusową? Czy Jego myśl i zamiary wyraża? Czy jest taka, jak sobie Chrystus życzy? Czy ta ekspansja (rozszerzanie się) bez intencji Chrystusa, wiele warta? Czy to nie jest raczej fanatyzm, który pragnie katolicyzm przyćmić, — a siebie wynieść w sławie i pokazać: co ja mogę!

A choćby się i Chrystusem luteranizm zasłaniał i używał Go za parawan — czy Chrystus z tego kontent? Przecież Zbawiciel rozkazał żyć w jedności wiary pod Piotrem, pod zwierzchnictwem jego następców, biskupów rzymskich — kazał używać środków do rozszerzenia Objawienia i swego Królestwa takich, jakie ustanowił i wskazał,—a nie takich, jakie sobie ludzie powymyślali na złość, na przekór Rzymowi, stolicy apostolskiej.

Zewnętrzna ekspansja, ostentacyjne miłosierdzie bez prawdziwej, Chrystusowej, nadnaturalnej miłości Bożej—jakież ma znaczenie? Czy nie jest tylko przechwałką, szukaniem rozgłosu, reklamą?

Ta sama odpowiedź dotyczy dobroczynności masońskiej i innych sekt, wrogich Kościołowi katolickiemu. Bogacze, magnaci protestanccy i masońscy złupili swojem zdzierstwem biednego robotnika, wyssali z niego siły fizyczne i moralne. Nie wiedząc, co z nagromadzonym kapitałem zrobić, rzucają biedocie po odrobinie, jako ochłap, aby uchodzić z faryzeuszami za filantropów czyli dobroczyńców ludzkości. Czy to myśl Chrystusowa? Czy to prawdziwe miłosierdzie i miłość prawa? Bieda, nędza, głód robotnika piszczy tym panom w uszach, krzyczy, grozi, domaga się praw swoich, więc na odczepnego rzucają jej coś nie coś.

## Kościół pielęgnuje miłosierdzie — szczególnie przez zakony.

Nie można zaprzeczyć — owszem, należy z wielkiem uznaniem podnieść, że kler świecki, stowarzyszenia świecko-religijne wiele czynią dla otarcia łez biednych, dla ratowania chorych. Atoli zakony i klasztory, zwłaszcza niektóre z nich, są jakby umyślnie, fachowo, zawodowo do tego powołane i spełniają należycie owe zadanie.

Popatrzmy, jak to od początku przez wieki to miłosierdzie w klasztorach wyglądało?

Pierwsze gminy chrześcijańskie od swego zawiązku miały na celu samarytańskie miłosierdzie. Dobrze zorganizowane, z najdalszych zakątków Azji Mniejszej, Macedonji, Grecji, Italji łączą się w jedną rodzinę. Zbierają ofiary na swoich nabożeństwach, aby je przesłać na ręce Apostołów, zwłaszcza św. Pawła, do rozdziału między najbiedniejszych braci.

*a) Zakony benedyktyńskie*

Później powstają właściwe zakony. Św. Benedykt na jednym z pierwszych miejsc swojej Reguły ma na oku biedę i nędzę ludzką. Między innemi przepisuje, aby szafarz klasztorny przyjmował chorych, podróżnych, ubogich z największą troskliwością. Każe mu św. Zakonodawca w ubogich upatrywać samego Chrystusa i pamiętać, że zda rachunek przed Bogiem z tego, jak tę regułę wypełnił. Pod tchnieniem takich przepisów budują się koło klasztorów szpitale i przytułki.

Św. opat Ostmar stawia ogromny szpital dla trędowatych. W klasztorze Klunjackim ustanowiono osobnego jałmużnika, który miał za zadanie: raz na tydzień obejść w okolicy wszystkich chorych i postarać się dla nich o środki do życia. Według innych kronik klasztornych, do dzisiaj zachowanych, rozdawano ubogim codziennie wsparcia.

Przeznaczono na to jedną piątą część dochodów klasztoru. Niektóre domy zakonne żywiły po 200 ludzi biednych dziennie. — Skąd ten chleb brały? Pracowały na niego ręce samych zakonników. Karczowali dzikie puszcze, dając przytem zarobek bezrobotnym. Uczyli dzikie ludy zakładać gospodarstwa i uprawiać rolę. — U Cystersów była reguła, aby czwartą część obrócić na utrzymanie biednych, wdów i sierót. W r. 1197 nawiedził wielki głód te okolice. Rozdzielano dziennie 1,500 porcyj pożywienia. Trudnoby było wszystko, co o tem w najdawniejszych czasach istnienia zakonów zapisano i co do nas doszło, zestawić i wyliczyć. Miłosierdzie wówczas miało szerokie pole i przeważnie przez klasztory działało.

*b) Zakony franciszkańskie*

W wieku XIII zjawiły się zakony żebrzące. Jaki cel miały? Aby możnych, prowadzących życie luksusowe, wystawne i przez to szerzących wśród ubogich niezadowolenie i zgorszenie, — nakłonić do umiarkowania i skromności, by ich pobudzić do miłosierdzia względem biednych. Miały na celu wykazać, że przy obcięciu zbytków, okrojeniu wydatków, można żyć o wiele milej, szczęśliwiej niż przy zbytkownych występach. Miały wykazać, że resztę dochodów należy obrócić na cele miłosierne i społeczne. Człowiek niewiele potrzebuje. Potrzebę wymyślają mu na-

miętności i przez zbytki do ruiny prowadzą.

Zakony franciszkańskie i dominikańskie pod tym względem wiele się przyczyniły do reformy magnackich obyczajów. Samo pojawienie się tych zakonów zbawiennie oddziaływało na możnych. Leczyło pychę, butę, pompę, a u biednych koiło zawiść społeczną.—Ubogi św. Franciszek Seraficki stał się osobistą i społeczną siłą uzdrawiającą. Duch jego i zasady były światłem i sumieniem dla całej europejskiej kultury. Tysiącom upośledzonych osłodził gorycz ubóstwa, tysiące bogaczy przez swój wpływ od światowej wystawności odzwyczaił i na drogę prostoty sprowadził. Pod jego wpływem wnet zawiązują się bractwa dobroczynne, rozwijające swoją samarytańską działalność. Do nich wpisywali się najbogatsi i najszlachetniejsi obywatele. Rozdzielano ubogim chleb, mięso, tłuszcze, w czasie postu śledzie — zaopatrywano ich w odzież — urządzano nawet raz na tydzień ciepłe kąpiele w łazienkach miejskich — grzebano zadarmo biednych zmarłych.—W ten sposób samarytańskie hasła Chrystusowe wpoiły się i w świeckie warstwy społeczeństwa — głównie przez zachętę, dobry przykład, wydatną pomoc osób zakonnych.

Późniejsze wieki odsłaniają nam długi, długi szereg dzieł miłosierdzia przez klasztory dokonanych.

Około połowy XVI wieku ukazuje się w Hiszpanji nadzwyczajna postać św. Jana Bożego, potężnego pracownika na niwie samarytańskiej. Zakon Bonifratrów — to jego dzieło. Rozwinął się tak prędko, że w następnym wieku po swem założeniu jego staraniem wyrosło 300 szpitali. Dwadzieścia tysięcy chorych znalazło w nich pomieszczenie.

*c) SS. Miłosierdzia (Szarytki).*

W XVII wieku zabłysła we Francji nowa gwiazda. Stanął na widowni wielki jałmużnik, św. Wincenty à Paulo. Największe dzieła jego życia — to założenie Zgromadzenia Księży dla misji, oraz Zgromadzenia Sióstr Miłosierdzia. Celem przeprowadzenia drugiego dzieła podsunęła mu Opatrzność Boża do pomocy dzielną i zdolną pracownicę (około roku 1623) i asystentkę. Była nią św. Ludwika de Marillac. Obecny papież Pius XI w przemowie podczas jej kanonizacji tak o niej się wyraził: Rozumując po ludzku, nie można pojąć, jak ta Sługa Boża mogła wykonać tyle obowiązków miłosierdzia. Nietylko wykonuje, co pod rękę podpadnie, ale co więcej „idzie na poszukiwanie tego miłosierdzia".

Zdumiewa nas u św. Wincentego i jego pomocnicy ta rozmaitość i różnorodność dzieł miłosierdzia: wśród ubogich i bogatych, robotników i galerników, na ulicach i w szpitalach, w schroniskach i koszarach, w domach i na polu bitew.—

Stwarza się nowy typ zakonnicy, dla której klasztorem ma być dom biednych i chorych; celką — pokój wynajęty; kaplicą — kościół parafjalny; krużgankami — ulice miasta i sala szpitalna; klauzurą — posłuszeństwo; kratą — bojaźń boża; welonem — święta skromność.

O św. Wincentym à Paulo czytamy w jego żywotach, że za jego staraniem pośredniem i bezpośredniem jeszcze za jego życia około dwóch miljonów ludzi dostawało za darmo pożywienie, ubranie, dach nad głową i całe utrzymanie. Królowa-regentka, Anna Austrjaczka, matka Ludwika XIV, która tego świętego zakonnika powołała na członka rady koronnej i jego zdanie bardzo ceniła, — odzywała się nieraz o św. Wincentym, żeby z niego mógł być znakomity minister finansów. Nigdy pieniędzy nie miał — a zawsze mu skądś przypływały, nie wiedzieć z jakich źródeł. On sam wykupił 1200 niewolników — przez jego ręce przepłynęło przeszło 40 miljonów złotych na pożywienie i odzież ubogich.— Poszukajcie podobnego filantropa czyli dobroczyńcy ludzkości! Nigdzie go nie znajdziecie!

W XIX w. powstaje w Kościele mnóstwo zgromadzeń religijnych, które mają na celu czynną miłość bliźniego. Wydaje ich głównie Francja — ta Francja, która za czasów wielkiej rewolucji katowała rózgami Siostry Miłosierdzia i życia ich na gilotynie pozbawiała, jakby były zbrodniarkami. Za co? Że poświę-

cały się pielęgnowaniu chorych, zajmowały się sierotami, setki tysięcy karmiły z tego, co użebrały lub zarobiły własnemi rękami. — Za to wypędzano je z własnej ojczyzny!

Stąd łatwo sobie odpowiecie, czy Kościół i zakony sprzyjają jedynie bogaczom i kapitalizmowi — i czy są wrogami biednych, wydziedziczonych.!

*d) Bracia Albertyni.*

Zaglądnijcie do domów Braci Albertynów. Zobaczycie tłumy nędzarzy — a dla każdego znajdzie się ciepły wśród mrozu kącik i ciepła strawa. Same władze policyjne, kiedy nie wiedzą, jak sobie z włóczęgami, z obdartusami poradzić, odsyłają ich do zakładów Brata Alberta, aby się pozbyć troski o nich.

Stańcie, zwłaszcza w porze obiadowej, przy furtach klasztornych, zobaczycie, że od biedoty i nędzoty aż się roi— a Bracia klasztorni zawsze jej, jak mogą, zaradzają — chociaż, nawiasem mówiąc, ci nieszczęśliwi ludzie nieraz im dziękują zniewagą i przekleństwem. Takich zwłaszcza nędzarzy nigdy nie można zadowolić, którzy przez swoją własną winę doczekali się przykrego losu— zeszli na dziady.

Nie dziw, że we Francji za czasów prześladowania Kościoła podczas zamykania klasztorów i rozpędzania osób zakonnych—nędzarze, żywieni przy furtach klasztornych, rzucali się z kamieniami na policję, szyby w oknach ma-

gistratu wybijali i znieważali czynnie urzędników państwowych, mszcząc się za niegodne, niechrześcijańskie traktowanie swych chlebodawców i dobrodziejów.

## Przez pojedyńcze osoby, które się na tem polu wyszczególniły

Jak przez pojedyńcze osoby Kościół miłosierdziem szafuje — wartoby parę słów dorzucić!

Niepodobna wszystkich wybitniejszych katolickich Samarytanów wyliczyć i opisać. Wystarczy paru bohaterom się przypatrzyć.

### *a) Św. Karol Boromeusz*

Włochy wydały św. Karola Boromeusza. Ten miłosierny biskup na 17 zjazdach diecezjalnych zagrzewał i duchownych i świeckich, aby rozwijali wszelką możliwą troskę w sprawie ubogich. Znana jego zasada: „Dobra kościelne— to dobra ubogich". Zakładał osobne domy dla wałęsającej się młodzieży, wystawił przytulisko żebrakom i niezdolnym do pracy. Przedewszystkiem jako wzór poświęcenia świecił przykładem w czasie wielkiej epidemji w Medjolanie w latach 1576 i 1577. W jednym roku umarło na zarazę w mieście i okolicy 25.000 osób. Święty Karol Boromeusz, na czele swoich księży, osobiście zajmował się chorymi. Padło wtedy ofiarą poświęcenia 120 kapłanów świeckich i zakonnych i 14 braciszków.

Święty ten biskup i kardynał pochodził z magnackiej rodziny. Posiadał wielkie dobra i własne i kościelne. Przytem wuj jego papież Pius IV był dla niego nadzwyczaj hojny. Ale i on hojnie dzielił się z ubogimi i tak się dla nich, jak to mówią, wyszastał, że przy śmierci prawie nic nie miał. — Głośny historyk, Ludwik Pastor, autor jego żywota, opowiada, jaką mowę wygłosił pewien O. Karmelita na pogrzebie: „Nieboszczyk kardynał-biskup — mówił kaznodzieja—był podobny do psa wiernego u wielkiego i zamożnego pana. Taki pies, cały oddany panu, jest w łaskach u niego, ma wszelkie wygody. Lecz sam o nic innego nie dba, byle tylko miał trochę jadła i swój barłóg. Nieboszczyk miał wbród wszystkiego—mógł żyć wystawnie, po pańsku. Ale on prócz Boga, któremu wiernie służył—nie dbał o nic innego, byle mógł się skromnie posilić i w ubogim kąciku się umieścić. Majątki, w które obfitował, biedocie i kalectwu poświęcił..."

Kaznodzieja, choć może zbyt prostem porównaniem się posłużył, powiedział jednak prawdę i dobitnie historję życia męża świętego przedstawił.

Drugi przykład — to już o naszym polskim zakonniku.

### *b) Ks. Jan Beyzym T. J.*

Wszyscy w Polsce i wielu poza nią wiedzą o O. Janie Beyzymie T. J., opiekunie trędowatych na wyspie Madaga-

skarze, obok Afryki. — U tych zarażonych dzieje się tak, że własne dzieci, skoro spostrzegą znaki trądu na ojcu, wyrzucają go z domu. Bojąc się go dotknąć, aby się nie zarazić, na sznurze założonym na nogę wloką go po wertepach, kamienistych i chropowatych, do lasu lub na pustkowie i zostawiają go jego losowi. Takie smutne sceny zdarzają się często u tych pogan.

O. Beyzym sam, dobrowolnie podał się na tę pracę, t. j. na opiekuna trędowatych w dalekim kraju. Przeżył wśród tych trupów żyjących lat blisko dwadzieścia. Zbierał opuszczonych i wyrzuconych przez własne dzieci po lasach i gęstych krzakach — zanosił na swych ramionach do schroniska, które dla nich wystawił — sam karmił, bo pozbawieni trądem palców nie mogli łyżki strawy w rękach utrzymać — zbierał dla nich jałmużnę, pielęgnował, odprawiał nabożeństwa, grzebał. Złożył między nimi swoje ofiarne życie.

Gdy wyjeżdżał do Afryki na tę wyspę, żegnaliśmy go w Krakowie publicznie w kościele. Ludu było po brzegi, zawiadomionego o tym wypadku przedtem. Paru panków stało przy balaskach blisko ołtarza i półgłosem szeptało do siebie: „Czy ten misjonarz nie zwarjował? Puszcza się za morza, narażając się na stratę zdrowia i życia. To przecież szaleństwo!" Te wygodne samoluby i bawidamki nie miały pojęcia o uczynkach bohaterskiego miłosierdzia

chrześcijańskiego. Tacy wygodnisie najbardziej rzucają kamieniami na zakonników — nazywając ich pasibrzuchami i ciężarem ludzkości!

### *c) Św. Jan Jałmużnik*

Mówiąc o uczynkach miłosierdzia, nie można milczeniem pominąć znanej, bardzo wybitnej w historji Kościoła osobistości — mianowicie św. Jana Jałmużnika (umarł w r. 620). Na ten przydomek słusznie sobie zasłużył, jak dalej zobaczymy. Chociaż był biskupem, można go zaliczyć do zakonników, bo przeszedł szkoły zakonne i na swym dworze prowadził życie prawdziwie klasztorne.

Św. Jan Jałmużnik, patrjarcha aleksandryjski, był rodem z Cypru, gdzie jego ojciec piastował urząd namiestnika tej wyspy. Żył za czasów Heraklju-sza cesarza.

Skoro tylko został patrjarchą, kazał diakonom i szafarzom zliczyć ubogich w Aleksandrji. — Idźcie—powiedział do nich—po całem mieście i spiszcie wszystkich moich panów. Nie zrozumieli, coby to byli za panowie? To są ci — wyjaśniał—których ubogimi nazywacie. Są to moi wspomożyciele i dobrodzieje, bo mi mogą wyjednać królestwo niebieskie.—Spisano ubogich ponad 7.000—i ci nieszczęśliwi stałego i hojnego mieli w nim opiekuna. Sam pilnował, aby szafarze używali sprawiedliwej miary i wagi.

Doniesiono mu, że rządcy i szafarze, podarunkami przekupieni, niesprawiedliwie swój obowiązek wykonują. Podwyższył im płacę, ale i to nie pomogło. Żeby wszyscy do niego samego mogli mieć przystęp, obrał sobie środę i piątek, w które to dni u drzwi kościelnych siedział z niektóremi zacnemi osobami, przypuszczając każdego do siebie. Zwykł był mawiać: „Jeżeli ja mam do Boga gotowy przystęp i z Nim, kiedy chcę, sprawę załatwiam, dlaczego memu bliźniemu nie mam dać zawsze wolnego ucha? Baćbym się musiał, żeby mi tak nie odmierzono, jako sam mierzę".

Pewien zacny pan był okradziony i do wielkiego ubóstwa zeszedł. Prosił św. patrjarchę o wspomożenie. On mu kazał dać 15 funtów złota w skarbcu. Lecz szafarze, widząc, że już niewiele zostało złota w skarbcu, dali mu tylko 5 funtów. — Dowiedział się o tem św. Jan. Gdy się to działo, przystąpiła doń pewna bogata wdowa i wręczyła mu podarunek na 500 funtów złota. Wtedy święty mąż zawołał szafarzy i rzekł: Przez wasze łakomstwo Kościół ma szkody na przeszło tysiąc i kilkaset funtów złota, bo ta wdowa miała zamiar dać 1.500 funtów. Gdy zaś wy przez skąpstwo daliście temu biednemu panu tylko pięć funtów, któremu kazałem dać 15 — ona odmieniła swój zamiar i dała tylko 500. Ażebyście wierzyli temu, co mówię, poślijcie po tę wdowę. Przyszła

i powiedziała, że to prawda, co patrjarcha mówi.

Św. patrjarcha opowiadał, że od pewnego wiarogodnego człowieka słyszał, co następuje:

Był w Afryce bardzo bogaty człowiek, imieniem Piotr, ale nadzwyczaj skąpy i dla ubogich niemiłosierny. Pewnego razu ubodzy skupili się razem w tem mieście, gdzie Piotr mieszkał, ogrzewając się na słońcu. Pokazywali sobie domy, gdzie ich częste spotykały jałmużny, a gdzie ich od progu odpychano. Jednych wysławiali przed Bogiem—a drugich oskarżali o brak litości. Zwłaszcza onego Piotra potępiali, że między nimi niema nikogo, któryby kiedy od niego wziął jałmużnę. Wyrwał się jeden żebrak mówiąc: Co mi dacie, jeżeli ja dziś od niego wymogę jałmużnę?

Tedy podszedł ów ubogi pod Piotra bramę. W tym czasie jego piekarz prowadził muła z chlebem, a sam pan, ów Piotr bogaty, szedł za nim.—Zmiłuj się, panie—błaga ubogi Piotra — bardzo jestem głodny. Jeszcze z twej ręki niczego nigdy nie dostałem. Niech mię dziś to szczęście spotka, aby cię Bóg jeszcze większem obdarzył.

Rozgniewany Piotr oglądał się za kamieniem albo czemś twardem, aby nań rzucił, a nie znalazłszy, chleb jeden porwał i ze złością nań cisnął. Porwawszy chleb, ubogi pobiegł i u towarzyszy zakładu się upominał.

Trzeciego dnia ów skąpy Piotr wpadł w ciężką niemoc. Owładnęła nim mdłość wielka, w której zasnąwszy, miał takie widzenie, jakoby go na sąd boży wezwano. Ujrzał wagę, około której na lewej stronie stali straszliwi jacyś murzyni, kładąc na nią wszystkie jego grzechy. Na drugiej stronie stali piękni mężowie w bieli, bardzo smutni, szukając, coby na drugą szalę mogli włożyć na przeważenie grzechów. Jeden z nich rzecze: Nie masz nic, tylko bochenek chleba, co przed trzema dniami dał ubogiemu i to nie z dobrej woli. I włożyli na wagę ten bochenek, ale za mało ważył, bo druga szala, gdzie były grzechy, poruszyć się nie mogła. — Idźże, Piotrze,—rzekli do niego—i dokładaj co możesz do tej wagi, bo ci oto murzyni czyhają na cię. — Ocknął się i rzekł do siebie: Widziałem moje grzechy i jak wielką moc posiada jałmużna, ale moja jałmużna była niedostateczna. Miłosierni—miłosierdzia dostąpią. I stał się wielkim jałmużnikiem.

Raz prosił go o jałmużnę taki, który wszystko stracił przy rozbiciu się okrętu i był napół nagi. Piotr, zdjąwszy ze siebie swoją drogą szatę, dał mu ją. On w niej chodzić nie chciał, bo bardzo była kosztowna, ale ją sprzedał. O czem dowiedziawszy się Piotr, smucił się, że przy ubogim pamiątka miłosierdzia jego nie została.

Ukazał mu się wkrótce mąż, jaśniejszy niż słońce, który go spytał: Czemu

się, Piotrze, smucisz? A on, jakby w nim widział Chrystusa, rzecze: Panie, gdy dajemy ubogim, co mamy od Ciebie, oni tego używać nie chcą. I to mówiąc, poznał na Nim oną szatę, którą dał ubogiemu.—I rzecze mu Pan: A znasz tę szatę?—Znam!—Oto widzisz, mnie ją dałeś i ja w niej chodzę.

Ocknąwszy się, pomyślał sobie, że jałmużna, chociaż dostanie się w ręce niegodne, ma wielką wartość przed Bogiem.

Później ten sam Piotr, jałmużnami wyczerpany, kazał się sprzedać słudze.— Cokolwiek za mnie uzyskasz daj na ubogich.—Takie mu dał polecenie.

Opowiadając tę historję i inne tym podobne o zaprzedanych w niewolę dla ubogich swoim szafarzom, św. patriarcha, Jan Jałmużnik, cały się zalewał łzami, dodając te słowa: Kochani Chrystusowi! Na cóż się przyda człowiekowi rozprawiać tylko o uczynkach Świętych Pańskich? Wierzcie mi, że aż do dnia dzisiejszego rozumiałem, że też coś uczyniłem, dając jałmużnę—ale nie wiedziałem, żeby i sami siebie ludzie sprzedawali, zdjęci litością.

Czy myślicie, żeśmy już wyczerpali temat (przedmiot) o pracy zakonnej? Jeszcze jest wiele do powiedzenia. — A ich cywilizacyjne czyny — ich kształcenie młodzieży po szkołach — ich rządy, które mogą być wzorem dla władz świeckich—mają ujść naszej uwagi? Rozbierzemy to po kolei.

## ROZDZIAŁ IV

### Jak zakony szerzą cywilizację?

Dziwnie się to słyszy — nie chce się wierzyć! Ci zacofańcy, ci wstecznicy, te kapturowe prostaki—odzywają się wrogowie zakonów i duchowieństwa — oni by mogli i umieli cywilizować?

A jednak to jest prawdą!

Słowo „cywilizacja" w ustach tych panów ma inne znaczenie, niż mieć powinno. Inaczej zapatrują się na nie ludzie głębszej wiedzy, szerszego rozumu, moralni, bogobojni, aniżeli ludzie powierzchowni, salonowi pieczeniarze i bawidamki.

Prawdziwa i rzetelna cywilizacja ma te cechy: opiera się na zasadach i podstawach moralnych, religijnych, stałych, niezmiennych. Cechuje ją prostota życia, wykluczająca prostactwo i grube obyczaje. Ma to do siebie, że wywiera korzystny wpływ na drugich, kształci, podnosi i do Boga prowadzi.

Cywilizacja świecka ma zupełnie inne znamiona. Ona głównie obraca się około zmysłów, im schlebia i zadowalnia. Kieruje nią moda, własne zapatrywanie i samolubstwo—zaprawia ją fałsz i obłuda. Nie opiera się na tem, co rzeczywiście, przedmiotowo jest dobre, piękne, szlachetne, ale przeważnie na tem, co dogadza naszej zmysłowości i chwilowym zachciankom.

## „Ciemnota średniowieczna".

Potrącając o kwestję cywilizacji i kultury, zawsze się prawie spotykamy z jednym zarzutem ze strony wolnomyślnych literatów i historyków.

Mówią, mianowicie, że zakony w średniowieczu na polu cywilizacji i oświaty rej wodziły, nią kierowały—a do czego doprowadziły?

Osłoniły ciemnotą owe wieki tak, że teraz ta ich oświata służy nam za przysłowie—ciągle się ją wytyka, Kościołowi i duchownym dokucza—służy za bicz i chłostę.

Wypada nam tę kwestję nieco rozjaśnić. Prawdą jest, że o „ciemnocie średniowiecznej" ustawicznie się słyszy i ten zarzut ciągle powraca, chociaż był już przez poważnych autorów gruntownie zbity i za błędny podany. Można do niego zastosować to znane niemieckie przysłowie:

„Posadź żabę na krześle, choćby
i ze złota—
ona wciąż skacze do swojego błota".
(Setzt man den Frosch auch auf dem Stuhl,
Er springt doch immer wieder in den Pfuhl).

Wczesne średniowiecze zaczyna się mniej więcej prawie około IV lub V-go wieku po upadku cesarstwa zachodniorzymskiego. Na początku tych średnich wieków zaczęły się odbywać tak zwane *wędrówki narodów*. Dzikie plemiona z Azji

zaczęły się posuwać do Europy (od r. 375 rozpoczął się ten ruch) parły na tubylców — plądrowały, rabowały, niszczyły wszystko po drodze. Najcenniejsze zabytki sztuki, nauki, obróciły się w niwecz. Na tę dzicz wędrującą zwrócił Kościół swe oczy, wziął ją w swoją opiekę. Trzeba było używać nieraz ostrych i przykrych środków, by ją okiełzać, okrzesać i ład moralny i społeczny zaprowadzić. Nic dziwnego, że duchowni, którzy z braku innych cywilizatorów tę akcję prowadzili, często bezwzględnie i groźnie występowali. To się naszym panom liberałom nie podoba i o to ciągle zaczepiają, wytykając Kościołowi i zakonnikom nietolerancję i okrucieństwo. Zdarzały się nadużycia swej władzy i wyższego swojego posłannictwa— czego się nie pochwala. Kościół miał wtedy wystarczającą siłę i z niej korzystał. To trzymanie w ryzach dziczy wandalskiej, teutońskiej i innej wyszło ludom na dobre i całemu światu na korzyść.

Kościół, głównie z pomocą zakonów, postarał się owym niesfornym i barbarzyńskim plemionom o coś więcej, oprócz dyscypliny, ładu, porządku ukrócenia ich swawoli.

Zapominają nasi współcześni, wolnomyślni uświadamiacze, że wszystkie *dzieła starożytnej kultury, greckiej i rzymskiej, ocalili* ludzie kościelni, przeważnie zakonnicy, przed Hunnami, Wandalami i innymi dzikusami—ci właśnie,

jak ich niedowiarkowie pogardliwie nazywają, „zacofani, ciemni, zakapturzeni mnisi".

Po klasztorach, po celach, po strychach ukrywano księgi starożytne — a potem, gdy nastały czasy spokojniejsze, ci „ciemni zakonnicy średniowieczni" przepisywali te księgi starannie od rana do nocy przy łuczywie, przy łojowych świecach. Świat nie zna ich nazwisk. Zeszli do grobu nieznani, pozostawiając nam skarby nieocenione. Czy dzieła Platona, Arystotelesa, Homera, Wirgiljusza, Horacego, Cycerona nie przez klasztory dostały się do nas? Czy to jest dowód ciemnoty ze strony Kościoła i zakonników?

A *pierwsze szkoły* skąd wyrosły? Na czyim gruncie rozbudziła się oświata?

Czy można nazwać ciemnotą i głupotą nauczanie czytania, pisania, uczenie gramatyki, retoryki czyli wymowy, rachunków, geometrii, muzyki, malarstwa, budownictwa, uprawy roli? Czy to ogłupianie? Czyż z głupich szkół mogli wyjść tacy wielcy i głośni ludzie, jak Albert Wielki, Tomasz z Akwinu, Dante, Petrarka, Boccacio, Leonard da Vinci? O dziełach św. Tomasza sam Luter bardzo pochlebnie się wyrażał, a nasi współcześni profesorowie-filozofowie (przynajmniej w Niemczech), choć sami byli protestantami, radzili swoim uczniom te mądre, głębokie tomaszowe dzieła dokładnie przestudiować. Mówił

o tem publicznie profesor W. Lutosławski na swoich wykładach.

Czy to dzieło głupoty i ciemnoty, że Kościół zakładał *uniwersytety* w Bolonii, Paryżu, Salerno, Oksfordzie, w Cambridge, w Pradze, Krakowie, Wiedniu, Heidelbergu? W tych uniwersytetach, oprócz teologji, kwitnęła medycyna, filozofja. Tysiące młodzieży zjeżdżało się na naukę z całego świata. Paryski uniwersytet liczył około 50,000 słuchaczy. Wybitniejsi Polacy z czasów średniowiecznych — to słuchacze uniwersytetu w Bolonii, Paryżu. Padwie.

A *sztuka* średniowiecza malarska, rzeźbiarska, budownicza czy nie przewyższała naszej obecnej?

Proszę pomyśleć o przepięknych świątyniach w Pizie, w Kolonji, w Reims, u nas na Wawelu, Panny Maryi w Krakowie, św. Anny w Wilnie — o tych wspaniałych średniowiecza klasztorach, jak w Wąchocku, Jędrzejowie, Mogilnie, Lubiniu—o przecudnych pałacach w rodzaju gmachu dożów w Wenecji—o tych galeriach obrazów, mieszczących arcydzieła sztuki malarskiej, przez żadnego mistrza naszych czasów niedoścignionych.

Zachwycamy się dotąd „Boską Komedją", utworem z czasów średniowiecznych. Jej autor, poeta Dante, wyrósł w atmosferze średniowiecza i pozostał do końca życia głęboko religijnym. Petrarka, syn średniowiecza, po dzień dzisiejszy słynie ze wspaniałych poematów.

Napisał w swojem dziele wybitny amerykanin, dziekan wydziału technicznego w Nowym Jorku, o budowlach średniowiecza, szczególnie o kościele św. Zofji w Konstantynopolu w tym sensie: Dzisiaj, kiedy mamy w ręku plany tego kościoła, kiedy umiemy posługiwać się elektryką, parą i innymi środkami technicznymi, jakich wówczas nie znano — dzisiaj nie potrafilibyśmy wystawić takiej świątyni, jak owa św. Zofji.

Powiedzą na to wrogowie średniowiecza: A czemu to nie wspominacie o *naukach przyrodniczych, o filozofji scholastycznej*? Tamte nie stały na odpowiednim poziomie, a scholastyka przekręcała ludziom głowy i śmieszyła.

Cóż na to powiedzieć?

Wogóle co do *postępu ogólnego* w każdej dziedzinie i zakresie — z czego się chlubimy, wynosimy i średniowiecze potępiamy—cóżby się stało ostatecznie, gdyby nie było ani kolei żelaznych, ani oświetlenia elektrycznego, ani maszyn do wyrabiania różnych produktów i przetworów, ani samolotów, samochodów, rewolwerów, bomb, gazów trujących i innych takich nowości, wynalazków, udoskonaleń?

Czyby świat runął albo wrócił do barbarzyństwa? Gdyby ludzie nic nie wiedzieli o mordach, sportach, kosmetykach, perfumach, szminkach, o wykwintnych, wyszukanych potrawach — czyby nie byli zdrowsi, zasobniejsi, pożyteczniejsi? Czyby przestali podróżo-

wać, handlować, korespondować, prowadzić wzajemne stosunki handlowe i przemysłowe? Możeby nawet było lepiej i spokojniej na świecie? Lud zwyczajny, roboczy miałby więcej zarobku, środków do życia, łatwiej uniknionoby bezrobocia. Teraz maszyna wyrywa pracę i czyni robotnika bezczynnym. Nie byłoby strajków i innych politycznych i socjalnych zawikłań i udręczeń. Niewiara i niemoralność nie szerzyłyby się tak łatwo, jak obecnie, w zbiorowiskach pracy, we fabrycznych zakładach i pracowniach, zatrudniających wielu w tem samem miejscu robotników. Dotkliwe, przykre, bałamutne nowiny i wiadomości nie dochodziłyby nas tak prędko, nie psułyby nam humoru i wesołości, jak obecnie po drutach telegraficznych, telefonach, radiach, statkach parowych. Zaraza śliskiej, niemoralnej literatury nie rozchodziłaby się z tak szybkiem tempem, jak teraz przez koleje, samoloty—łatwiejby było przestępcę, zbrodniarza odszukać, wykryć, boby tak prędko koleją, ani powietrzem, ani wodą do Ameryki lub do innej kryjówki nie mógł uciekać—ludzie trzymaliby się swoich domów i ognisk familijnych, nie kusiłyby ich wyjazdy do miejsc rozrywek, swawoli i rozpusty. A teraz, co im nowoczesna cywilizacja i oświata przyniosła? używają na swoją zgubę, na upodlenie i na ruinę drugich. Wszystkie prawie cywilizacyjne wysiłki wzięła w arendę wojna i nimi się popisuje.

Zapewne, że postęp, cywilizacja dała nam wiele—ale czy nie więcej odebrała i czy ogromnej szkody nie przyniosła?

Więc dlaczego ją z takiemi owacjami i oklaskami witać—dlaczego się nią przesadnie chlubić, przeceniać—dlaczego stawiać ją wyżej niż Boga i religję—dlaczego jej taką napuszystą i szumnobrzmiącą renomę (rozgłos) robić i głosić, że ona jest jedynym celem życia ludzkiego? Dlaczego poniżać i potępiać te wieki, w których życie prowadzono z prostotą, prawością, religijnością, zdala od wyrafinowanych wymysłów i wybryków — dlaczego uważać te wieki za ciemne i zabobonne?

Co się tyczy *nauk przyrodniczych*, fizycznych i chemicznych w średnich wiekach, to trzeba przyznać, że nie były tak rozwinięte, jak teraz. Nie spuszczano ich jednak z oka. Nie można się było poważnie i gruntownie do nich zabrać, bo brakowało środków, przyrządów, instrumentów obserwacyjnych, badawczych i pomocniczych. Ślady pracy na tymże polu znajdujemy dość liczne.

Prawda i to, że *filozofja scholastyczna* sama się podkopywała, bo się zapuściła w takie błahostki i drobnostki, w takie niepotrzebne rozhowory, dysputy i dystynkcje, że śmiech na się ściągnęła.

Trzeba jej jednak przyznać, że oparta na zasadach nauki chrześcijańskiej, w swojej subtelności, w swoich docie-

kaniach, określeniach, dosadnych wyrażeniach i definicjach tak się wysoko wzniosła, tak głęboko w rzecz weszła, że w żadnym innym systemie filozoficznym, w żadnym okresie czasu nic podobnego nie podobna nam spostrzec.

O tem nasi panowie literaci wolnomyślnego pokroju nic nie wiedzą, bo do tych rzeczy nie dorośli. Umieją tylko krytykować, ciemne strony wskazywać, ujadać i wszystko inne ganić oprócz tego, co sami w swojej płytkiej głowie wymyślili. Umieją swoją żółć wylewać na Kościół, religję i zakony—umieją się popisywać swoim postępem i mądrością, która w oczach Boga jest głupstwem, jak mówi Pismo św.

## Zakonne starania cywilizacyjne nowszych czasów

Rzuciliśmy trochę światła na „ciemnotę średniowieczną". Mogło się przez to jaśniej zrobić w głowie zakonnych nieprzyjaciół i lepiej usposobić do zakonów. Chętniej zatem nadstawią ucho na dalsze nasze wywody o cywilizacyjnych wysiłkach późniejszych czasów.

Owe starania i wysiłki osób zakonnych odnoszą się do cywilizacji w dzikich, pogańskich krajach i do naszych stosunków u nas w domu.

### *Cywilizacja w pogańskich krajach*

Cywilizacji zakonnej u dzikusów przypatrywał się głośny amerykański

pisarz-humorysta, Marek Twain. Odbywał wiele podróży po świecie i swojemi spostrzeżeniami interesował nie tylko Amerykę, ale i świat cały. Ponieważ był to protestant († 1910), jego uwagi mają dla nas, katolików, znaczenie niepoślednie, gdy chodzi o katolickie misje, które zwiedzał i o nich z wielkiem uznaniem się wyrażał. Przytoczymy tu jego słowa pełne pochwały o misjonarzach zakonu oo. Trapistów i o ich osadach w Afryce (w Natalu). Zwiedzał je dokładnie w towarzystwie wysokich urzędników angielskich i tak o nich wspomina:

„Wszystko zastaliśmy tak, jak się czyta w książkach, choć się temu nie daje wiary: a więc ciężka praca, pożywienie skąpe, habit twardy, proste tapczany, unikanie mówienia i rozrywki. Widziałem to naocznie i na jawie, nie był to więc sen, ani omamienie. Ale cóż z tego? Widzi się, a ledwie człowiek daje temu wiarę: takie wszechstronne ujarzmienie, podbicie ludzkiej natury i jej potrzeb. Ci misjonarze musieli doskonale znać ludzi. System przez nich wprowadzony wyczuwa i tropi każdą skłonność ludzką na to, aby jej zabronić. Wszystko, co nam życie uprzyjemnia tak, że bez tego nie wartoby żyć na ziemi—to wszystko wyszukali i wygnali poza obręb klasztoru.

Człowiek lubi, by go wyszczególniano—tu u misjonarzy jest to wykluczone; lubi dobre jedzenie—tu dostaje bób,

chleb, herbatę i to nie dużo; lubimy wygodną pościel — tu się śpi na prostym sienniku, pod głową jest twarda poduszka, nakryciem ostry koc. Lubimy siedzieć przy stole w gronie licznych przyjaciół, śmiać się, rozmawiać — tu jeden zakonnik czyta pobożną książkę, a nikt nie mówi, ani się śmieje. Bielizny i pościeli niema.—Lubimy długo spać, wczasować się, ale tak, aby nam nikt snu nie przerywał -- tu wstaje się coś dwa razy w nocy na modlitwę, a o godzinie drugiej po północy wszystko, co żyje, zrywa się do roboty. Lubimy mało pracy, a wiele płacy — tu robi się całymi dniami w domu, na polu, w pracowniach, a płacy żadnej. Człowiek lubi być w towarzystwie i otoczeniu kobiet — tu ani mowy o tem. Lubi człowiek teatry, koncerty, przechadzki—tu wszystko to zabronione. Gdy jesteśmy smutni, w jakim kłopocie, chcemy się wygadać—jak się tu wynurzyć, skoro mówić nie wolno? Lubimy zapalić sobie fajeczkę, cygaro, przeczytać gazetę, politykować, lubimy ładnie urządzony dom. Tymczasem tu nie wolno palić, ani czytać gazet, a całem urządzeniem domu gołe ściany, krzyż i obraz. Wreszcie ma człowiek jakieś zachcianki — tu nawet nie wolno pomyśleć o niewinnych zachciankach, a cóż dopiero o złych?

I na co to wszystko? O ile mogłem wybadać, to na to, żeby duszę zbawić. Nam się to zdaje dziwne, ba! dziwaczne, niesłychane, niemożliwe.. Ale misjonarz

znał lepiej duszę ludzką; wiedział, że brak ponęty jest ponętą, że to, co my, światowi, cenimy, za czem przepadamy, jest niczem, że najważniejszą rzeczą jest: zbawić duszę.

Ta osada misyjna rozpoczęła swe dzieło przed 15 laty (zwiedzał ją Twain w r. 1896). Biedni zakonnicy przyszli tu obcy, bez pomocy, bez poparcia. Dziś mają 1500 akrów obszaru, mają przemysł, rzemiosła, winnice, zboża. Czarni uczą się, kształcą, idą w świat. Dziś jest już jedenaście nowych osad, a wszędzie są szkoły, zakłady, poganie przyjmują chrzest, zarzucają stan dziki, stają się prawdziwymi ludźmi, chrześcijanami, obywatelami kraju, a kiedyś będą obywatelami nieba"... To są słowa Marka Twaina o cywilizacyjnych wysiłkach zakonników.

Historja kościelna i powszechna pełna jest takiego pouczenia. Niektóre przykłady owej zakonnej cywilizacji:

Któż nie słyszał o tak zwanych *„Redukcjach"* jezuickich w Paragwaju (Południowa Ameryka)? Rząd hiszpański powierzył Jezuitom przed paru wiekami niektóre osady dzikich Indjan i oddał im opiekę duchowną i polityczną nad nimi. Mimo licznych sprzeciwów i oszczerstw miotanych na ten zakon, jakoby dążył do oderwania Redukcji od korony hiszpańskiej — najbardziej uprzedzeni do Jezuitów godzą się na to, że sposób rządzenia przez tychże zakonników zapewniał ich poddanym

dobrobyt materjalny i ułatwiał spełnienie obowiązków względem Boga. Byli dla tych biedaków prawdziwymi ojcami. Uczyli dzikusów stawiać domy, uprawiać rolę, wznosili szkółki, wprawiali do rzemiosła, leczyli, zaopatrywali w żywność. Nauczali tychże Indjan formować siłę zbrojną i bronić się przed najazdami.

Wszyscy historycy i kronikarze—nawet protestanccy i nienawidzący ten zakon—wyrażają się o tej pracy cywilizacyjnej Jezuitów pochlebnie, z uznaniem, stawiając za wzór innym rządom.

### Inne przykłady

W kolegjum jezuickiem w Saint Louis (stan Missouri w Stanach Zjedn. Półn. Ameryki) można oglądać w archiwum ciekawy dokument—mianowicie umowę pokojową rządu Stanów Zjednoczonych z naczelnikami szczepów indjańskich. Widać na tym kontrakcie podpisy szefów i wodzów indjańskich — obok nich imiona czterech generałów Stanów Zjednoczonych. Oprócz tego widnieje podpis zakonnika jezuickiego o. Piotra De Smeth'a, jako pośrednika i poręczyciela zgody.

Tenże o. De Smeth przez długie lata pracował między Indjanami w zachodnich stronach Półn. Ameryki i miał wielkie u nich znaczenie. Nie tylko z towarzyszami zakonnymi oświecał ich religijnie, ale cywilizował, starał się o chleb dla nich, uczył uprawy ziemi, chowu by-

dła i handlu. Odbył nawet kilka podróży do Europy po wsparcie materjalne. Największe jego zasługi leżą w tem, że nieraz zażegnał wojnę, która miała wybuchnąć między tymi szczepami a Stanami Zjednoczonymi. Do jego pośrednictwa rząd się udawał i zawsze zatargi brały najlepszy obrót. Na pośrednictwie tego misjonarza rząd amerykański oszczędził miljony, któreby musiał był wydać na koszta wojny—i uniknął trudnych i przykrych przepraw.

Umierając o. Piotr de Smeth (w roku 1872) zostawił żal po sobie i niewygasłą pamięć u dzikich plemion indjańskich—a u rządu amerykańskiego szczerą wdzięczność. Ma przydomek „Apostoła Gór Skalistych". W kilku miejscach wzniesiono mu pomniki.

Urodzony w Belgji w r. 1801. Ciało jego spoczywa na cmentarzu klasztornym w miasteczku Florisant, w stanie Missouri.

W Ameryce wielu cywilizatorów zakonnych cieszy się wielkim rozgłosem. Zwłaszcza *zakonnicy franciszkańscy* głośne imię po sobie zostawili. Jeszcze przed ukazaniem się zakonu jezuickiego niwę pogańską z wielkim skutkiem uprawiali i krwią swoją męczeńską podlewali.

W mieście Mineapolis (stan Minnesota Półn. Ameryki) sam byłem świadkiem i uczestnikiem jubileuszowej uroczystości, jak pamięć zakonnika, franciszkańskiego misjonarza, czczono nad-

zwyczajną paradą. Był on przed paru wiekami pionierem tej części Ameryki — cywilizował dzikich Indjan—materjalnie i moralnie przyczyniał się do ich oświaty i dobrobytu. W publicznej procesji niesiono po ulicach figurę tegoż zakonnika przy dźwiękach muzyki i marszu wojska. Mowa za mową co chwila wychodziła z ust nawet protestanckich obywateli, głosząca poświęcenie i cywilizacyjne wysiłki tego zakonnika i jego współpracowników ówczesnych na niwie religijno-oświatowej Ameryki. Przy tej sposobności i nam misjonarzom polskim, bawiącym wówczas tamże, trochę honoru się dostało. Zaproszono nas na estradę (podwyższenie), gdzie najwyższa „szpica" siedziała i dyrygowała, jak obecnie nazywamy, akademją na cześć misjonarza franciszkańskiego.

Czytajcie kroniki kościelne o Chinach, Japonji, Persji i wszelkie inne. Znajdziecie imiona zakonników, jako pionierów cywilizacji nie tylko religijnej, ale i wszelkiej innej. Oni to torowali drogę swoim państwom w stosunkach politycznych, handlowych, przemysłowych i oświatowych — oni szli na pierwszy ogień, jak żołnierze na froncie. — Rządy europejskie, co się w kraje zamorskie i pogańskie wciskały, niosły kulturę i cywilizację szorstką, drażniącą, gwałtowną, często brutalną i barbarzyńską. Nieraz psuły i rujnowały stan pierwotny tubylców tak, że katoliccy misjonarze musieli te niemiłe po-

czynania łagodzić, ślady owej obco-rządowej polityki zacierać, nienawiść tłumić i koić balsamem nauki Chrystusowej. Za to byli nieraz jak najgorzej traktowani, na szykany i różne zniewagi wystawiani.

*Cywilizacja domowa*

Zejdziemy na pole naszej domowej cywilizacji we własnym kraju.

Zobaczymy, jak osoby zakonne na niem pracują. Przyglądniemy się różnym ich zajęciom, zakonom właściwym.. Misje, rekolekcje czy zamknięte czy otwarte, praca w konfesjonałach, wydawanie pism, książek umoralniających, pogłębiających wiarę i religijność — czy te i inne takie prace, zajęcia, nie noszą na sobie cechy kulturalnej, oświatowej, cywilizacyjnej? Czy one nie wywierają wpływu na postęp nauk—czy nie przyczyniają się do dobrobytu materjalnego pod każdym względem?

Zdarzało się, że władza państwowa ze swoją policją i siłą zbrojną nie była zdolna do stłumienia zaburzeń i rozruchów. Paru zakonników po paru przemowach burzę zażegnało i spokój przywróciło.

Zdarzało się, że parafja, gmina, o mało co nie ugrzęzła i nie zmarniała w bagnie pijaństwa. Paru zakonników-misjonarzy dało upust powodzi i zalewowi. Brudy znikły—a na ich miejscu wyrosły kwiaty cnót i dobrobytu.

Było i tak, że małżeństwo miało się rozwieść, że proces niesprawiedliwy groził ruiną majątkową—że nienawiść wzajemna rozdzierała serca obywateli—że desperat przygotował truciznę albo broń morderczą, by zginąć od samobójstwa,—że lubieżność się głęboko wryła w serce młodzika, narażając na zgubę ciała i duszy. Jaki ratunek? Spowiedź pomogła, okazała się znakomitym środkiem zaradczym, usunęła grożące niebezpieczeństwo i wszystko naprawiła.

O formowaniu charakteru wiele się mówi i uważa się słusznie, że jego wyrobienie to prawdziwa edukacja i pedagogja. Stary birbant, hulaka, utracjusz, lubieżnik—gdzie i kiedy miał się wyrobić, wyszkolić moralnie i religijnie? W szkołach chodzi o grekę, łacinę, rachunki i o nabycie innych świeckich wiadomości. Mało się dba o wyrobienie charakteru. Na uniwersytetach jeszcze więcej wolności i samowoli. Często przez liberalne wykłady dobija się chwiejne ofiary umysłowe. Młode lata stracone, zmarnowane. Później o to tylko chodzi, aby się dobić posady i utrzymać się na niej, by chleba nie utracić. Religja i charakter na drugim planie albo zupełnie wymazane. Rodzina mu się mnoży, dzieci przybywa, wydatki się zwiększają. Żeby przynajmniej umiał się z groszem obchodzić, łatwo go nie wyrzucać, lecz oszczędzać na czarne chwile! Lecz on potrzebuje rozrywek i wesołości—lubi sobie używać, niczego

sobie nie odmawiać, czego zmysły i fantazja pragnie.

I ten stary, zepsuty dzieciak powoli stacza się w przepaść. Cóż go nad nią zatrzyma? Kto rękę poda, co ochroni od zupełnej ruiny?

Nieprzewidzianym sposobem dostał się pod ambonę albo się dał namówić poważnej pani, aby posłuchał rekolekcyjnych nauk głoszonych przez pewnego głośniejszego kapłana zakonnego. Tu usłyszał, co trzeba robić, jak wybrnąć z błota grzechu i wejść na drogę cnoty. Odtąd zaczyna się z pomocą łaski Bożej nowy perjod postępowania. Nowa siła weń wchodzi—siła Boża. Stanął na nogi i idzie raźno drogą swojego obowiązku. Czy to nie edukacja, cywilizacja i szkoła życia?

A ta szkoła zawsze otwarta i dostępna—szersza i obszerniejsza po klasztornych kościołach niż gdzieindziej. Czemu? Duchowieństwo świeckie obarczone pracą parafjalną, rozrywane rozbieżnemi sprawami, nie może się w każdym czasie, jakby pragnęło, penitentom w konfesjonale poświęcić. Zakonne duchowieństwo łatwiej czas znajdzie, bo je inne sprawy administracyjne nie pochłaniają albo przynajmniej nie w tej mierze jak świeckie.

Ślady i oznaki cywilizacji można łatwo dostrzec w tych parafiach, gdzie są Siostry zakonne. Na nie się ludzie oglądają, ich rad i przestróg słuchają—

z niemi się liczą. Ustają tam przekleństwa lub się zmniejszają, nie słychać kłótni, swarów — dzieci schludniejsze i więcej ułożone — bajczarstwo, brzydkie mowy znikają—w domach czyściej, chędożniej, w ubiorach nie razi przesada, nieprzyzwoitość i nieskromność— nawet dobytek wzrasta, bo jak Pismo św. powiada: Pobożność do wszystkiego pomaga.

Nie jeden zauważył w czasie światowej wojny, jak się moskale w polskich stronach odnosili do Sióstr zakonnych, które napotkali w parafjach—jaki mieli respekt przed niemi. Moskal, gdzie wpadł, rabował bez pardonu, co spotkał. Przed świętami wielkanocnemi, kiedy gosposie przygotowywały pieczywa na „święconkę", żołnierz rosyjski wpadał do chat, wyciągał niedopieczone nawet strucle z pieca i z niemi zmykał. Gdy zaś zobaczył Siostrę zakonną w domu, tracił animusz. Z nieśmiałością zwracał się najpierw do tejże Siostry, aby mu trochę pieczywa u gospodyni wyprosiła. Ludzie, jadąc do lasu po drzewo, albo pracując w polu, prosili Siostrę, by im towarzyszyła. Byli pewni, że przy niej moskal im ani konia, ani wozu, ani żadnej innej rzeczy nie weźmie. W pewnem miejscu, gdzie Siostry Miłosierdzia miały dość wielki szpital, rozlokowali się Rosjanie. Nienajgorzej się im przy tych nieproszonych gościach powodziło, bo był komendant Polak i grzeczny człowiek. Bały się jednak

Siostry, że po odejściu regularnego wojska, napadną ich maruderzy, dezerterzy, co się w pobliskich lasach we wielkich masach kryli i chowali, aż się armja z tych okolic oddali, żeby napadać, grabić, mordować. Siostry wyraziły tę obawę komendantowi. „Gdyby was dezerterzy chcieli napaść — powiedział ów oficer — niech kilka Sióstr wyjdzie naprzeciw z krzyżem albo z obrazem Matki Boskiej! Zobaczycie, że zrejterują albo ze swego zuchwalstwa zrezygnują, i poddadzą się pod waszą komendę". Ten środek ratował Siostry przed grabieżą i mordem.

Dzikie nawet, rozpasane żołdactwo cywilizowało się i pokorniało wobec bezbronnych zakonnic.

Co to mówić o dzikiem, rubasznem i prostackiem żołdactwie. W ucywilizowanych nawet domach, w pańskich i magnackich pałacach prawdziwa cywilizacja wiele zostawia do życzenia.

Głośny w swoim czasie zakonnik, apostoł Wiednia, który w arcyksiążęcych zamkach był używany za spowiednika i wielkiej tam używał powagi — zobaczył w przedsionku mieszkania arcyksięcia nieskromny obraz, wiszący publicznie na ścianie. Zdjęty nienagannym gniewem, wyjął rysik z kieszeni i nim ten obraz pokreślił i zniekształcił. Zrobił to, sądząc, że nie było świadka tej jego operacji. Po pewnym czasie arcyksiężna plamy i basałygi na obrazie spostrzegła. „Kto to zrobił?"

pyta lokaja.—„Ten ojciec zakonny, co tu dziś słuchał spowiedzi"—odpowiedział służący. Niedostrzeżony stał za kotarą i widział, jak spowiednik brzydki obraz przerabiał i nadawał mu cywilizacyjne kolory. — „Ach! to on!"—rzekła wysoka pani.—„Zdejm ten obraz, pokrusz i rzuć do pieca, bo rzeczywiście może gorszyć!"

Inny zakonnik, długoletni misjonarz w dzikich krajach, przybył do swej rodzinnej wioski. Hrabia, dziedzic majętny tego miejsca, chciał go uczcić szumnem przyjęciem. Pospraszał gości i urządził wspaniały bankiet. Gdy dano znać do stołu, zjawiła się hrabina razem z córkami, ale tak przewiewnie i pół nago ubrana, że sam hrabia się zarumienił i uważał za stosowne wytłumaczyć żonę i córki i przeprosić za nie obecnych, a zwłaszcza misjonarza. „Panie hrabio!—odpowiedział ów ojciec—mnie to nie razi. Ja w mojej pracy u dzikich na takich golców muszę się ciągle patrzeć—ledwie co na nich wisi—ale my ich cywilizujemy!"—śmiało, dosadnie i dowcipnie odciął ów misyjny zakonnik.

Zakonnicy nawet do cywilizowania samych królów się zabierali.

Fryderyk Wielki, król pruski, wybrał się daleko poza stolicę w zimie na polowanie. Dają mu znać, że jakiś kwestarz zbliża się sprzeciwka, siedząc na wozie, wypchanym główkami kapusty w asystencji wielkiej liczby baranów. Król ze świtą musiał długo czekać, do-

póki ta procesja się nie przewaliła. Niekontent wzywa do siebie braciszka: „Co ty tu robisz? Czy nie wiesz, że wszelka u nas kwesta zakazana? Oddaj to wszystko, coś ludziom porabował!" — Braciszek się wymawia, usprawiedliwia, prosi o pardon, że on nikomu krzywdy nie zrobił. Król spostrzegł, że ten brat bardzo rozumnie się tłumaczy. — „No, dobrze! Widzę, że darmo chleba nie jesz i masz dużo oleju w głowie. Możebym ci pozwolił dalej kwestować, ale cię najpierw katechizmu wypytam, co ty umiesz? Czem ty się zajmujesz w klasztorze?" — „Jestem właściwie ogrodnikiem, ale w zimie, jak teraz, jeżdżę po kweście".—„Jeżeliś ogrodnikiem, toś powinien znać się na kwiatach. Powiedz mi, jak różne religje podobne są do różnych kwiatów i je przypominają, n. p. do jakiego kwiatu podobna jest nasza pro estancka religja?" — „Do piwonji, najjaśniejszy panie" — „Dlaczego?" — „Pięknie wygląda, swą barwą bije w oczy, ale zapachu nie ma"—„A turecka?" —„Do róży—mile nos głaszcze—można z niej smaczne konfitury przyrządzić, ale nic więcej—i to wszystko, co daje. Turecka wiara w niebie rozkosze i smakołyki obiecuje, a na ziemi nie daje nic oprócz haremu".—„A wasza katolicka?" — „Podobna do pokrzywy". — „Dlaczego?—„Bo i piwonię i róże można łatwo podeptać—można sobie po jedzeniu jak ścierką i serwetą gębę obetrzeć albo nos oczyścić. — Katolickiej wiary nie

tykaj, bo cię poparzy, popiecze i pokole, jak pokrzywa".—Król na to: „Widzę, że w klasztorze głupców i darmozjadów nie trzymają—jedź dalej i zbieraj, co ci się nawinie".

Nauczył się król wiele od brata zakonnego.

### *Cywilizacja pióra*

Jeszcze trzeba parę słów dodać o pracy cywilizacyjnej zakonnej, która wychodzi z pod pióra. Patrząc się na tę pracę, nie mamy zamiaru zostawić w cieniu działalności i szermierki pisemnej świeckiego duchowieństwa i osób świeckich, które zdolnem, udatnem piórem dzielnie popierają sprawy religji. Chodzi nam tylko o to, aby uwydatnić i przypomnieć, że pod tym względem nie można zakonników o lenistwo posądzać, że i oni nie zasypiają sprawy nadzwyczaj ważnej. Swojemi płodami literackiemi przyczyniają się wiele do rozświetlania prawdy i do jej pogłębienia—a przez to więcej przysługują się społeczeństwu, więcej przyczyniają się do szerzenia cywilizacji i oświaty, niżli tacy autorowie i pisarze, którzy powieściami, poetyckimi utworami bawią ludzi i urozmaicają im nudne chwile.

Że to jest prawdą, łatwo wykazać. Mickiewicz pragnął, aby jego utwory weszły pod każdą strzechę na wsi. My

im także tego życzymy—bo dotąd prawie ich tam nie widać.

Lecz choćby wszędzie weszły, czy je wszyscy zrozumieją? Czy się te jego książki przyczynią do umoralnienia i do poprawy życia — o co najbardziej chodzi? Wejdą, jako zabawka i rozrywka, będą wzorem dobrego polskiego języka i patriotyzmu, ale nie uchronią przed złem moralnem.

Książki zaś treści religijnej, żywoty świętych, broszury apologetyczne czyli broniące wiary i inne obyczajowe książki—zwłaszcza napisane językiem przystępnym i wszystkim zrozumiałym—zupełnie z innym skutkiem będą powitane pod strzechą. Wejdą jako sól do zaprawy i do ochrony przed zgnilizną moralną i religijną. Każdy, nawet prostaczek, zrozumie je, odzwierciedli na sobie, podniesie się na duchu w strapieniach i kłopotach, zapali się do czynów, przydatnych nie tylko do rozszerzenia chwały bożej, ale i dla podniesienia dobra ludzkości.

Cóż więc pożyteczniejsze—czy świecka sztuka i literatura, opiewająca nieraz barwnem piórem brzydotę grzechu i słabości wad ludzkich, albo strojąca zdolnym pędzlem, dłutem sprośność występku— czy też żywoty świętych, rozprawy i wykłady zalecające cnotę, uczące zwyciężać złe nałogi, omijać błoto, piąć się wyżej ponad wszelkie przeszkody i zdążać do ideałów już od zarania życia?

## V. Szkoły zakonne

*Uczą należytej pedagogji—czyli dobrego sposobu wychowywania młodzieży*

Należycie wychowywać młodzież, czyli być dobrym pedagogiem—jest to sztuka nad sztukami. A co to znaczy być dobrym pedagogiem?

Znaczy *posiadać u młodzieży powagę*. Powaga wzbudza sympatję, nęci wolę, ma łatwy wpływ na serce i przekonanie innych.

Napoleon I, cesarz francuski, wojownik niezrównany, miał ogromną powagę u żołnierzy. Na jego słowo, skinienie, szli na bagnety, na śmierć, jak na przepyszny obiad — lgnęli do niego i kochali, szczycąc się, że pod nim służą.

Hannibal, wódz. kartagiński, Cezar, co podbił Galję czyli dzisiejszą Francję i inni nie zbyt liczni znakomici kierownicy wojenni, zasłynęli w historji i ich imiona z chlubą do nas przeszły—cieszyli się wielką powagą—to znaczy, znali się na strategice czyli sztuce wojennej i umieli pozyskiwać zaufanie.

Nawet osławieni burzyciele porządku społecznego, prowodyrzy rewolucyjni, co innych bałamucą — ci, co swemi książkami, przemowami wiodą na złą drogę czytelników i słuchaczy—bez powagi i rozgłosu nie mogliby poruszyć masy i za sobą prowadzić.

Tembardziej w pedagogji czyli w wychowywaniu młodych ludzi powaga

jest niezbędną sprężyną, motorem, pobudką, magnesem do kierownictwa młodzieży, do pozyskania serc, do prowadzenia do prawdziwych, istotnych, nadnaturalnych celów.

— A co się składa na powagę?

— Dwa czynniki: nauka i cnota.

### *I. Nauka*

Jaki ma cel nauka? Ma podwójne zadanie—mianowicie: oświecać rozum, rozprzestrzeniać jego granice, pogłębiać go—i wychowywać czyli kierować wolę ku dobremu i ustalać w zakresie cnoty.

W świeckich zakładach naukowych zwraca się uwagę prawie tylko na pierwszy czynnik wychowawczy, t. j. aby zapchać pamięć i rozum wiedzą świecką, nagromadzić w głowie jak najwięcej materjału. Nawet się nie dba o to, czem się zapycha, co się gromadzi. Chodzi tylko o to, aby było pełno. Nie zważa się na to, czy to pszenica, czy plewy, czy to takie rupiecie, które się nigdy na nic nie zdadzą—i może jeszcze takie, co cuchną, brudzą, psują inne rzeczy nagromadzone. Nie umieją układać w gumnie, w spiżarni, w magazynie pamięci pozbieranej wiedzy światowej. Mieszają jedno z drugiem. Robi się z tego chaos w głowie i zamieszanie, galimatias. Stąd tylu mędrców głupich, tyle nadętych pęcherzy naukowych, tyle krzykaczy, blagierów, frazesowiczów, którzy niby w imię nauki głoszą swoje

mgliste, niemądre mrzonki i za pewniki naukowe podają.

W świeckich szkołach, uczelniach cel nauki: to błyskotliwość, imponowanie drugim, osiągnięcie posady, stanowiska, chleba i utrzymania.

W szkołach zakonnych, pozostających pod kierownictwem zakonników i sióstr zakonnych nauka ma wyższe cele—wyżej swymi ideałami sięga. Wspina się aż do Boga i Jego chwały szuka. W nich nauka jest światłem, lampą, szczeblem do poznawania Boga, do prowadzenia innych po labiryncie świata. Nauka klasztorna jest narzędziem, służącem do odkopywania, odkrywania skarbów—i to takich skarbów, co mają wielką wartość w życiu i za które kupi się niebo.

A kiedy to nauka takiem narzędziem będzie? Jeżeli będzie nabywana z Bogiem—i podawana z Bogiem.

*a) Nabywanie nauki z Bogiem*

W jaki sposób nabywa się nauki z Bogiem?

Najpierw szuka się *światła,* aby przy nim wnikać w tajniki wiedzy. Nauka nie jest łatwa—a rozum, nieraz tępy, zaćmiony namiętnościami, zamglony miłością własną, swoją wygodą, lekkomyślnością, zmiennością. Brak do nauki humoru, usposobienia, chęci — głowa zmęczona, zdenerwowana, ospała i leniwa.

Czy może takie tępe, zamglone, chwiejne narzędzie samo z siebie zapuszczać się w tajniki wiedzy? Czy może bez światła, bez zachęty, bez energji brać się skutecznie do nauki? Mus, oko dozorcy, dyscyplina, krzyki nauczyciela nie wiele zrobią. Prześliźnie się po wierzchu—nie wejdzie do głębi duszy—nie pobudzi, aby ochoczo z zamiłowaniem wziąć się do książki i wypełnić należycie swoje zadanie.

Gdzież to światło, zachęta? W modlitwie, w egzortach religijnych, w pobudkach nadprzyrodzonych, których nie brak w szkołach zakonnych. One wzbudzają zapał i ochotę do książki.

Słyszę, jak się ktoś odzywa:

— Przecież i w szkołach świeckich nie są bez światła religijnego: modlą się przed i po lekcji, odprawiają rekolekcje, uczą się katechizmu, bywają u spowiedzi.

Odpowiedz na to:

— Jest wprawdzie światło duchowne, ale, najpierw, nie wszędzie—a po drugie, niewystarczające.

Nie wszędzie, bo są i były kraje, gdzie to światło boże umyślnie w szkołach gaszono – jak w tych państwach, w których się religję ignoruje lub wyklucza i wpływ religijny uważa się za szkodliwy.

Jest go wogóle za szczupło. Wdziera się to światło gdzieniegdzie z konieczności pod presją i naciskiem katolic-

kiej opinji i jej żądań—a nie z przekonania i potrzeby pedagogicznej.

Jest zmienne, bo za tych rządów może go być wystarczająco—za innych zaś bywa uszczuplane, a nawet tłumione i wygaszane.

W zakładach zaś stojących pod kierownictwem duchowieństwa i zarządów klasztornych jest go zawsze obficie. Zdarzały się wypadki, że nawet—zwłaszcza w szkołach żeńskich — było tego światła za wiele i zbyt częstem swojem zastosowaniem nieco raziło. Ale temu był winien brak roztropności i przesada—i dało się przy dobrej woli rzecz uregulować. Winy takiej nieroztropności nie ponosił cały system edukacyjny, metoda, ogólny program i kierunek prowadzenia szkoły—ale niektóre osoby, przesadzające w dewocji.

Powtóre.

Potrzeba światła bożego i nabywania nauki z Bogiem i z innego punktu wynika. Aby pedagogja szła należytym torem i krokiem, musi pomagać słabym, mniej utalentowanym uczniom i uczennicom, aby dorównały w naukowym biegu zdolniejszym. Nieraz miernych talentów uczeń gryzie i gryzie lekcję, jak dziecko orzech, a nie może się do wnętrza dostać—kuje i kuje, jak kowal, swoje rachunki i inny przedmiot, a nie może nic kształtnego wyklepać. Gdyby mu się poza godzinami szkolnemi pomogło, posunąłby się łatwo w nauce

i „zdałby" lekcję dobrze, jak utalentowani jego koledzy i koleżanki.

W szkołach świeckich trudno o taką pomoc ekstra-szkolną, a jeśli ją można uzyskać, trzeba ekstra zapłacić. Niejeden chłopiec lub dziewczę szkolne, chociaż niskie w talentach umysłowych, wysokie zato w pysze, gardzi taką pomocą, uważając sobie owo wsparcie duchowe za ubliżenie.

W klasztornych zaś uczelniach znajdzie wiele środków pomocniczych przy studjach, chętnych do usługi i nic nie kosztujących. Wychowankowie i wychowanice klasztorni nie wstydzą się o tę pomoc poprosić, bo ich cnota pokory, o której wiele słyszą, zachęca. U świeckich buta, egoizm, co już u dziecka wystawia różki, przeszkadza. O pokorze prawie nie słyszy.

Potrzecie.

Do studjów naukowych konieczne jest skupienie, pozbieranie rozbiegłych myśli, spokój, koncentracja władz umysłowych. Spokój, zwłaszcza wewnętrzny, to jakby tafla, powierzchnia wody równo i gładko ułożona, jasna i przezroczysta. Na niej odbiją się gwiazdy, słońce, drzewa i wszystko, co ją otacza.

Serce spokojne i umysł niezamącony odbije bez trudności to, czego się dziecko uczy, co sobie chce przyswoić.

A jak tę taflę serca i rozumu wygładzić, usposobić i przygotować do odbicia nauki? Przez ćwiczenia ascetyczne, duchowne, praktyki religijne,

przez egzaminowanie sumienia, poznawanie siebie samego, rozmyślania i rozważania tajemnic bożych. Wtedy się atmosfera duchowna rozjaśnia, wypogadza, niepokoje serca się uciszają, wybryki fantazji przychodzą do porządku i do pracy naukowej stajemy się zdolniejsi i sposobni.

W zakonnych szkołach tych środków uspokajających, skupiających władze duchowne, umysłowe, może znaleźć młodzież do woli.

Poczwarte.

Do studjów naukowych trzeba *wytrwałej woli*, żeby ich bez potrzeby nie przerywać, żeby zapanować nad zniechęceniem, nad nudą, które mogłyby owładnąć duszą—zwłaszcza gdy suchy, zawiły, trudny przedmiot trzeba obrabiać—uczyć się tego, co nie jest samo z siebie ponętne, zachęcające.

W zakonnych szkołach i tych przeszkód można uniknąć albo je łatwo zwalczyć, bo na to ma się pod ręką środków bożych poddostatkiem — jakich w innych zakładach znaleźć trudno.

To znaczy nabywać naukę z Bogiem. A co znaczy:

*b) Podawanie nauki z Bogiem?*

Dwie rzeczy w tem się zawierają. Jedna—to odnosić wszystko do Boga, druga—to naukę przy wykładach zaprawiać i zabarwiać Bogiem.

Do Boga odnosi się tak naukę, jak wszystkie inne nasze uczynki: przez *dobrą, nadnaturalną intencję.*

Dziecko powinno się uczyć nie tylko dlatego, aby go nie przychwycono na próżniactwie, nie zamknięto do kozy, nie wychłostano—nietylko dla dobrej noty, czyli dla dobrego świadectwa—nie tylko, żeby sprawić rodzicom radość—nie tylko dlatego, aby sobie przyszłość zabezpieczyć, błyszczeć, przepchać się przez świat — ale jego nauka powinna mieć na celu chwałę Boga i własne uszczęśliwienie w wieczności. Zapewne, że genjalny uczeń lub uczennica, gdy w przyszłem życiu stanie ponad poziomem, odznaczy się na polu nauki, sztuki lub na innem wykaże nadzwyczajny swój talent i powodzenie—że taki uczeń olśni sławą swój zakład, gdzie pierwsze kroki stawiał. Przysłowie mówi: „Pochwała ucznia—to pochwała nauczyciela"*).

Ale nie o to jeszcze chodzi. Jego rozgłos i chwała powinny się przyczyniać do uwielbienia Stwórcy i Jego chwałę głosić, jak cały wszechświat: „Niebiosa opowiadają chwałę bożą — i firmament oznajmia dzieło rąk Jego" (Ps. 18, 2).

To jest najwyższy, ostateczny cel wszelkiej wiedzy, wszelkiej nauki, wszelkich badań i sztuki, wynalazków, udoskonaleń i innych nadzwyczajnych wyczynów na każdem polu, w każdym za-

*) „Laus discipuli — laus magistri".

kresie. Bez intencji bożej nic innego z młodzieży nie wyrośnie, jak tylko „miedź brzęcząca albo cymbał brzmiący". (1 Kor. 13. 1).

Jak jeszcze trzeba rozumieć podawanie nauki świeckiej z Bogiem?

Podaje się następnie naukę z Bogiem, jeżeli się przy wykładach wszędzie, gdzie można, *Boga wplata*, Nim swój przedmiot *zaprawia*, kolor boży nadaje, na wyższe myśli boże oko zwraca. I to się da przy nauczaniu podczas lekcji i poza nią uskutecznić z pożytkiem religijnym słuchaczy. Podnosi się piękność i tryumf cnoty, piętnuje się brzydotę występku, zestawia się obydwie, wykorzystuje, schodzi się z rozumu do serca i uczynku. W każdym prawie przedmiocie nadarza się do tego zastosowania sposobność.

I tak np. przy nauce *literatury*, czyli w lekcjach o piśmiennictwie, czy w prozie czy w poezji, oceniając życie i dzieła autora, można takie uwagi robić, jak to Henryk Sienkiewicz w swoich listach o Zoli (tom 26), bezbożnym i plugawym pisarzu francuskim, podał: „Gdybym był Francuzem, uważałbym talent Zoli za narodowe nieszczęście i cieszyłbym się, że jego czas mija, że nawet najbliżsi uczniowie opuszczają mistrza... Co wrodzony talent Zoli uczynił dla nieśmiertelności, to popsuło jego lubowanie się w brudnym realizmie (rzeczywistości). Literatura nie może posługiwać się takimi wyrazami, jakich wstydzą się mię-

dzy sobą nawet prostacy... Mistrze w rodzaju Zoli dają nam tylko rozkład, chaos, wstręt do życia i rozpacz. Dziś zaczadzonym trzeba świeżego powietrza, wątpiącym nadziei, targanym niepokojem trochę spokoju. Przeto słusznie czynią, zwracając się tam, skąd nadzieja i spokój płynie—tam, gdzie ich błogosławią Krzyżem i gdzie im mówią, jak trędowatemu: „Weź łoże swoje i chodź!"

Autorowie chcą w nas wmówić, że dają prawdziwy obraz społeczeństwa i że ich obyczajowa analiza (zbadanie, rozbiór) jest przedmiotowa. Kłamstwo, przesada, lubowanie się w rzeczach zgniłych—oto dokładny obraz beletrystycznego (romansowego, zmysłowego) żniwa czasów ostatnich. Nie wiem, co na tem zyska literatura (piśmiennictwo), ale wiem, że *djabeł nic nie stracił*...

Tak dalej iść poprostu nie można. Na wyjałowiałem polu pozostają tylko chwasty. Powieść powinna krzepić życie, nie zaś podkopywać—uszlachetniać je, nie zaś plugawić—nieść dobrą nowinę, nie zaś złą.

Mniejsza mi o to, czy to, co mówię, podoba się komuś lub nie — sądzę bowiem, że odczuwam wielką i pilną potrzebę duszy ludzkiej, która woła o zmianę".

Tak o bezbożnej i zgniłej literaturze mówi nasz wielki powieściopisarz Henryk Sienkiewicz — a żal się Boże, ile ona truje dusz ludzkich, co się same, dobrowolnie w tej wstrętnej kałuży zatapiają i giną!

Przy nauce *historji*, czy kościelnej czy świeckiej, jeszcze więcej nadarzy się okazyj do takich bożych uwag i religijnego pouczenia. Można postacie podłe, intryganckie, obłudne napiętnować, uprawiające politykę podstępną, zwadliwą i samolubną—a ludzi pełnych zasługi, zwłaszcza około rozwoju religji, z całym zapałem w jasnem świetle przedstawić i jako wzory do naśladowania podać. Można wiele powiedzieć o zbawiennym wpływie religji i Kościoła na dobro państwa, o pracy cywilizacyjnej chrześcijaństwa, o Opatrzności w dziejach ludzkości, o upadku i karze tych kierowników rządu, społeczeństw, co religję, Boga wykluczają i jako szkodliwe czynniki państwowe uważają.

Co to za obszerne pole do religijnych wycieczek i dyskusji na temat Boży!

Przy nauce *fizyki*, *chemji*, *astronomji* jeszcze obfitszy materjał można znaleść! Wszędzie pokazać ślady boże, układ, porządek, prawa natury, Opatrzność. Przecież te rozbieżne, różnorakie elementy, pierwiastki i składniki same z siebie tak się przemyślnie i rozmyślnie nie ułożyły, aby całość wszechświata celowo, mądrze, opatrznościowo złożyć! Przecież jakaś siła nadzwyczaj rozumna musiała tem kierować! Czyby sama jakaś ciemna, martwa natura, jak chcą, wolnomyśliciele i ateusze, mogła tego dokazać? Jeżeli są prawa w naturze, jak ci panowie przyznają, to przecież same się nie wypisały, nie wyryły, nie

wycisnęły—ale je jakiś Prawodawca musiał włożyć i wyryć! Gdzie On jest? Co to za jeden? Czy się samą ewolucją da wytłumaczyć ten wspaniały rozwój, mądry i przedziwny układ, uderzający porządek w świecie? Czy jakiś traf, przypadek, te sprzeczne elementy mógł pozbierać, pościągać i w jedność harmonijną, zadziwiającą ułożyć? Z takich bezmyślnych, nierozsądnych wywodów nawet małe dziecko się śmieje!

Gdyby jakiś mędrzec chciał i umiał tylko wyjaśnić, odmalować wszystkie dziwy w przyrodzie, tajemnicze zjawiska—przewyższyłby swą głową Salomona i cały świat zjeżdżałby się do niego po naukę. Od wyjaśnienia, odmalowania, do stworzenia i wykonania jeszcze bardzo daleko!

W zakonnych, katolickich szkołach młodzież często słyszy takie rozumowania i wywody same się nasuwające — religijnie się nastraja,—nauką się interesuje i ma wskazówki, drogowskazy, światło na drodze życia.

Jeżeli zaś małą z tego korzyść odnosi—to nie wina klasztorów i duchownych nauczycieli, ale winy tej trzeba szukać gdzieindziej. Posiew może być dobry, udatny — ale szkodniki, burze, atmosfera, i inne gorszące, demoralizujące, zgubne wpływy, wszystko, co się posiało, psują, marnują!

* * *

Powiedzieliśmy, że czynniki należytej pedagogji w dwóch słowach są zawarte: nauka i cnota.

O nauce już była mowa. Teraz parę myśli:

*2. O cnocie*

Sama nauka bez cnoty nazywa się w ustach katolickich pisarzy mieczem, sztyletem, rewolwerem w rękach szaleńca. Można go nadużyć i zaszkodzić sobie i innym. Sama wiedza świecka—to błyszczący, łudzący kamień bez wartości — to błędny ognik, unoszący się nad bagniskiem. Nauka jest wprawdzie światłem, ale i światło trzeba regulować, aby nie psuło oczu, nie raziło.

Orygenes, pisarz uczony z pierwszych wieków chrześcijaństwa, zdolny filozof i teolog, skoro swej nauce zanadto ufał i nie dał się sobą kierować, wpadł w herezję. Przybył do Jerozolimy. Kler i świeccy obywatele powitali go uroczyście. Sława jego nauki uprzedziła go wszędzie i w podziw wprawiała. Proszono go i nalegano, aby przemówił do publiczności. Otwiera Pismo św., aby znaleźć temat do mowy. Natrafił na ten tekst: „Ale grzesznikowi rzekł Bóg: Czemu ty opowiadasz sprawiedliwości moje i bierzesz testament mój w usta twoje?" (Ps. 49.16). Zmieszał się, zbladł, serce mu się gwałtownie odezwało, strumień łez wypłynął z oczu jakby mu usta zamknęło. Zszedł z mównicy, mówiąc do siebie: „Jak to? In-

nych mam przestrzegać przed złą drogą—a sam nią idę? Lekarzu! Lecz się sam pierwej!".

Cnota musi regulować naukę pod każdym względem.

Najpierw w stosunku do Boga.

Przybył do zakładu naukowego, zakonnego, inspektor szkolny ze Lwowa, dobry katolik. Na rekreacji poobiedniej, w której i ten pan uczestniczył, zeszła mowa na dobre książki — jaka z nich jest najlepsza? Jeden z ojców zakonnych, nie namyśliwszy się dobrze, rzekł: „Tomasz à Kempis — O naśladowaniu Chrystusa" — Inni się uśmiechnęli, bo im się wydawało, że inspektor weźmie to za naiwność. Tymczasem ów wysoki oświeciciel sięgnął ręką do kieszeni i wyciągnął tę samą książkę, o której była mowa. „Ja Tomasza à Kempis zawsze wożę ze sobą—powiedział zakonnikom. —Nieraz znajduję się w trudnych i przykrych okolicznościach. Muszę rozstrzygać takie kwestje, w których jasności nie mam. Przeczytam parę kartek i już mi jasno. Wyborna ta książeczka wiele mi światła rzuci".

Generał Dezydery Chłapowski, tęgi wódz polski, tak samo czynił. Pokazywał Tomasza à Kempis ojcom zakonnym i tak powiedział: „Mam przy sobie tę złotą książeczkę już przez 46 lat. Przed każdą bitwą rozdzialik przeczytałem i na duchu się podnosiłem. Boskie myśli mię posilały".

Nasz głośny malarz, Jan Matejko, lubił religijne książki czytać, bo jak się wyrażał: „One mi inspirują (podsuwają) tematy do sztuki, którą uprawiam".

Wincenty Pol, znany i lubiany poeta, na starość oślepł. Z przyjacielem, który nam rysy jego życia podał, wychodził lub wyjeżdżał poza Kraków na przechadzki. W lasku ze szumu liści porozumiewał się i poznawał—co to za drzewo? „Wsłuchujmy się w głos natury — mawiał — bo to głos boży. Niebo przez szum drzewa przemawia. Uwielbiajmy potęgę i dobroć bożą!" Gdy przechodził koło kościołów, a były niezamknięte, zawsze wstępował, choćby na małą chwilę, i modlił się gorąco.

W stosunku do przełożonych profesor i wychowawca zakonny odnosi się jak dziecko do dobrego ojca — stosuje się do ich rozporządzeń, programu, sposobu wykładania swego przedmiotu. Informuje się chętnie, prosi o uwagi i rady, z których korzysta. Matejko, mając gości w swojej pracowni, prosił ich o uwagi. „Wszystko ładnie, zachwycająco—ale w tem miejscu zdałoby się nieco poprawić"—mówił mu pewien kapłan-przyjaciel.—„Masz słuszność—z podzięką mistrz się odezwał—tu by rzeczywiście trzeba farbą pociągnąć". Taki artysta genjalny—a za krytykę był wdzięczny.

Nauczyciel, wychowawca zakonny, jest na tyle pokorny i uległy swej władzy, że mu łatwo rady, wskazówki i na-

pomnienia przyjmować i z nich korzystać. Widzi w swym przełożonym Chrystusa. Stać go też na to, aby miłość wewnętrzną i zewnętrzną względem kolegów, współnauczycieli żywić i podtrzymywać. Ta zaś miłość i harmonja bardzo korzystnie wpływa na wychowanków i ułatwia edukację. Miłość broni kolegę, usprawiedliwia, choćby się w czem potknął i popełnił nietakt. Miłość jedna zuchwałe dziecko z władzą. Nieraz dzieci wywołują umyślnie niemiłe i skandaliczne sceny. Drażnią niesympatycznego profesora, wiedząc, że znajdą poparcie u innego sympatycznego. Miłość tak się potrafi wdać w tę sprawę, że się serca połączą bez kar i znęcań się nad winnymi przestępcami. Miłość spełni rolę sprawiedliwości—zastąpi ją w najlepszy sposób.

Stosunek wychowawców i wychowawczyń zakonnych do swej młodzieży w szkołach męskich i żeńskich jest o wiele milszy, przyjemniejszy i serdeczniejszy, niż w zakładach świeckich. Nauczyciel lub nauczycielka zakonna ma dziecko zawsze przy sobie czy w szkole czy po za nią. Łatwiej im poznać charakter, wady, przywary i inne własności duszy, a bez tego poznania niema się co zabierać do wychowania. Lekarz musi poznać dokładnie stan choroby swojego pacjenta, czyli przeprowadzić należycie diagnozę. Inaczej nie uda się leczenie.

Wychowawcy zakonnemu łatwiej posiąść *takt*, który to przymiot jest miarą,

wagą, busolą, metrem naszych uczynków, naszego postępowania względem młodego pokolenia. Nauczyciel bez taktu i roztropności nie może mieć powagi. Narazi się na śmiech, drwinki i kpinki. Praca jego wychowawcza idzie na marne.

Zakonnej osobie łatwo w sobie wyrobić tę zaletę. Częste egzaminowanie swego sumienia, kontrola nad uczynkami, jest szkołą taktu. Rozważania na modłach, wchodzące, wsiąkające w praktykę życia—uczą ją taktu, pokonywania siebie w gniewie i rozdrażnieniu, pozyskiwania sobie serc dzieci– a te środki duchowne mają doniosłą wartość w pedagogji. Miłość wychowanków ku wychowawcy i zaufanie nie powinny być samolubne—mające na względzie własną tylko osobę. Miłość ma być stopniem, szczeblem do zamiłowania swojego obowiązku i do miłości bożej. Ma być iskrą, która zapala serce wychowanka do miłości i hołdu dla Boga. Do tego powinna prowadzić pedagogja.

* * *

Zarzucają nieraz pedagogowie świeccy — a przedewszystkiem panowie literaci,—że szkoły zakonne są *jednostronne i płytkie.*

Czytałem w pismach Woycickiego, znanego literata, ostre krytyki na wychowanie klasztorne panien. Mówi ten pisarz, że zakonnice nie wychowują dziewcząt *dla świata,* w którym się mają obracać.

Co chce przez to powiedzieć? Może to, żeby uczennicom świeckie zasady

wpajały, do świeckich się wymagań stosowały, żeby płynęły z prądem świata, żeby pobudzały do miłości, tęsknoty do świata mamideł, do zwodniczych świeckich iluzji, uciech i ponęt i na „światówki" je wyrabiały? Ślicznieby na tem cała edukacja wyszła! Ładnieby się zakonne nauczycielki swoim panienkom przysłużyły! Nie trzeba panny tego uczyć i do tego zaprawiać po klasztorach. Świat sam tego nauczy i natrętnie im będzie swoje zgubne zasady wciskać, gdy się dostaną w wir jego. Co warta taka nauka? Jaką daje korzyść? Nic nie daje—a wielce szkodzi. Obedrze te niewinne istoty z uczciwości i wstydliwości—obedrze ze spokoju duszy i prawdziwego szczęścia, które na czystości sumienia się zasadza. Obedrze je nieraz z majątku i samej duszy. Niech raczej nauczą się w pensjonatach klasztornych nienawidzenia świata—niech się przygotowują na jego zdradliwe podstępy i zasadzki. To im więcej pomoże, niż światowe poglądy i zasady.

Może ten wolnomyślny autor rozumie przez świat zajęcia świeckie przy kuchni, szyciu i gospodarstwie? Tego uczą w klasztorach—nawet tańców, gimnastyki, muzyki i rozrywek tego rodzaju, jakie będą mogły i po opuszczeniu pensjonatów na świecie praktykować. Nie uczą rozrywek niebezpiecznych, nieuczciwych i wyuzdanych, jakie nowoczesna zmysłowość i swawola wymyśliła—jak jazzu, tango, foxtrotta, bok-

su, piłki nożnej i flirtu. O tem i od djabła mogą wziąć lekcje.

Lepiej niech się panna nastroi po bożemu i ascetycznie—będzie jej to do twarzy, wzbudzi szacunek, podniesie wysoko godność niewieścią i uczyni małżonką wierną, zacną, której mąż będzie mógł ufać i szczycić się takim klejnotem.

Inni panowie literaci rzucili się na zakon jezuicki, a zwłaszcza na jego szkoły, i odsądzili go od czci i wiary. Znany historyk Józef Szujski, rektor uniwersytetu i powaga naukowa w swoim zakresie, tak ten zakon zbezcześcił, że mu odmówił nie tylko uczoności, ale i pobożności, religijności. Nazwał jezuitów obłudnikami, faryzeuszami, fanatykami, zacofańcami, co szczepili płytką, powierzchowną, błyskotliwą pobożność. (Dzieje Polski", tom III).

Skądże czerpał swoje dowody ów pan uczony? Ze źródeł protestanckich, luterskich. Wiadomo, że protestanci jezuitów, jak to mówią, utopiliby w łyżce wody.

Gdy jednak późniejsi pisarze zakonni i ich świeccy przyjaciele zaczęli w te oszczerstwa głębiej wglądać i rzecz korzystnie dla tego zakonu wyświetlili i przedstawili, pan Szujski w późniejszych wydaniach swoich książek te krzywdzące i nierozumne swoje poglądy zmienił, odwołał.

Najnowsze badania historyczne otworzyły tym panom oczy na prawdę i wykazały, że jezuici nie byli takimi nie-

ukami, krętaczami i zbrodniarzami, jakimi ich płytcy i uprzedzeni literaci i historycy przedstawili. I dla nich po tylu obelgach i oszczerstwach znalazło się trochę uznania i szacunku. Nie wszyscy jednak o tejże „rejteradzie" panów uczonych wiedzą, i zgorszenie, niechęć do tego zakonu nie ustaje.

Kiedy w Północnej Ameryce przebywałem na misjach i wydawałem „Posłańca Serca Jezusa" dla tamtejszej Polonji, dostałem artykulik z listem od pewnego tamże rodaka: „Co te tu liberały i bezbożniki chcą od wielebnych ojców— pisze ów Polak.—Muszę sobie uszy zatykać, aby takich bezeceństw i bluźnierstw na czcigodnych ojców nie słuchać. Zarzucają wam najgorsze rzeczy. Byłem u ojców na Wesołej w Krakowie lat kilkanaście, zajmowano mię przy ekspedycji waszego wydawnictwa—dzień i noc spędzałem u was—nic takiego nie spostrzegałem, coby mię mogło gorszyć. Przeciwnie. Widziałem cnoty na każdym kroku. A że tu wśród tej zgrai gorszycieli i rozpustników trzymam się nienagannie—to zawdzięczam tylko dobremu cnotliwemu przykładowi, jaki znalazłem w Krakowie u was..."

Co jeszcze robią w klasztorach? Tak się rządzą, że mogą służyć za wzór i przykład społeczeństwu, rodzinom i tym wszystkim, co piastują jakąkolwiek władzę, zwierzchnictwo. Wykazuje to rozdział następny.

## ROZDZIAŁ VI

### Jak uczą sztuki rządzenia?

Co w tym rozdziale chcemy powiedzieć?

Najpierw poda się *ogólne zasady dla wszystkich*, mianowicie: Co jest potrzebne, aby dobrze rządy sprawować, ludzi i interesy należycie prowadzić? Poznanie lub odświeżenie tychże zasad nikomu nie powinno być zbyteczne. Może być użyteczne i pomocne różnym zwierzchnikom nie tylko zakonnym, ale i świeckim.

Rządzą władze państwowe — rządzą kierownicy różnych związków, stowarzyszeń i spółek—rządzą rodzice w domach—nauczyciele w szkołach—rządzą wójtowie, sołtysi, zawiadowcy folwarków, ekonomowie, leśni, gajowi, różni przełożeni w fabrykach, warsztatach i rzemiosłach. Niechże wiedzą, co im potrzebne, co ułatwia ich zadanie i pracę. O tem rzadko się mówi, słyszy i czyta. Wszyscy jednak radziby ulżyć sobie pod tym ciężarem obowiązków i kierownictwa—zadowolić rządzonych i harmonijnie, zgodnie żyć i pracować z nimi dla ogólnego dobra.

Potem *przejdziemy do zakonów*. Porównamy tamtejsze rządy z rządami świeckich ludzi — zestawimy różnice — wytkniemy pewne błędy, usterki, jakie się przy rządzeniu mogą zdarzyć.

Może niejedna osoba, co te kartki będzie przeglądać, otrzyma łaskę powo-

łania zakonnego—może nawet w klasztorze będzie wysadzona na urząd przełożeństwa. Niech jej te wskazówki i pouczenia rozjaśnią sytuację (położenie, stanowisko) i w rządach dopomogą! Te zasady mogą znaleźć szersze zastosowanie — wszystkim się mogą przydać.

*1. Ogólne zasady dla wszystkich w tem, co się tyczy rządzenia.*

Czy do dobrego rządzenia wystarczy *sama nauka,* wykształcenie teoretyczne, kultura, oświata? Nie wystarczy.

Mieli bowiem w rękach rządy na różnych stopniach władzy bardzo światli ludzie, uczeni, filozofowie — ale się im nie powodziło. Nie byli praktyczni i roztropni w administracji i musieli ustąpić albo ich z krzesła władzy zepchano. Wywołali wiele kwasów, szemrań, narzekań, niezadowolenia.

Może *znajomość paragrafów,* ustaw, przepisów, reguł uzdolnia do rządzenia? Pomaga wprawdzie wiele, ale nie czyni jeszcze rządzącego zdolnem i odpowiedniem narzędziem do kierowania drugimi, jeżeli brak innych kwalifikacji czyli przymiotów i własności. Niejeden sypie paragrafami jak z worka, a w praktyce strzela błędy jedne za drugimi.

Może *blask rodu,* pochodzenie z wysokiej familji nadaje się do sprawowania rządów? I to nie zawsze. Wpływa wprawdzie na umysły poddanych, imponuje, pociąga—ale wysoko urodzony zwierzchnik czyni nieraz rażące błędy, nietak-

ty—przygniata majestatem i często odwraca serca i umysły od siebie, szkodząc ogólnej sprawie.

Może *świątobliwość życia*, pobożność, która, jak św. Paweł mówi: „do wszystkiego pomaga?" Pomaga, ale roztropna i rozumna—a nie zbyt pobłażliwa, miękka, zanadto uległa — ani zanadto surowa, nieprzystępna, odstręczająca. Nie każda pobożność ma w rządach powodzenie. Może być pedantyczna, dziwaczna, przesadna, zniechęcająca.

Cóż więc do dobrych rządów jest potrzebne i konieczne? Krótko mówiąc: *osobny dar, osobny talent*, osobny przymiot—i *należyte jego użycie*.

Co się w tym darze zawiera? Uzdolnienie natury, wrodzone przymioty do rządzenia. Jak do muzyki, do poezji, do malarstwa, rzeźbiarstwa i innych specjalności trzeba z natury mieć pewne dane, wrodzone skłonności i zdolności, zarodek, który można w ciągu czasu rozwijać, udoskonalać—tak i do sztuki rządzenia.

A to naturalne uzdolnienie na czem polega, co szczególnie zawiera?

Najważniejszym jego składnikiem jest *roztropność*. Pisarze chrześcijańscy nazywają tę cnotę „woźnicą innych cnót". Co to znaczy? Roztropny, sprytny woźnica dobrze powozi. Goście, pasażerowie pod jego kierownictwem czują się bezpieczni. On sobie da radę na drodze złej i dobrej—koni nie zmęczy—wyboje i przepaście ominie, zręcznie się wywi-

nie z napaści i zasadzek. Lichy i nieroztropny woźnica, szofer, spowoduje nieszczęście. Jego nieuwaga, lekkomyślność i nieroztropność cały pojazd rzuci do rowu, w przepaść, rozbije, pokaleczy i zgubi gości, konie i siebie.

Cnota roztropności ma podobne zalety. Jest uważna, przezorna, zapobiegliwa, nie da się łatwo wyprowadzić z równowagi, rozpatruje i przewiduje wszystkie szczegóły, waży okoliczności. Nieroztropność, choćby była uczona i dobrze urodzona, choćby wpadała w oczy pobożnością i ascezą—więcej zaszkodzi, niż pomoże.

Powiedzieliśmy wyżej, że cnocie roztropności powinno pomagać *należyte jej użycie*. Jak to rozumieć? Do tej cnoty musi się przyłączyć to, co w języku ludzi świeckich nazywa się zwycięstwem siebie samego, opanowaniem siebie, kontrolą swych uczynków — w języku zaś zakonnym nazywa się *umartwieniem*.

Co to jest umartwienie? Jest to siła moralna, energja duchowa, którą trzeba wydobywać z duszy na to, aby żyć dobrze, t. j. według rozumu i wiary. Wszystkim nam, i świeckim i duchownym, uczonym i prostaczkom, zawsze i wszędzie, we wszystkich warunkach życia konieczne jest umartwienie. Bez niego niema ani cnoty, ani nauki. Rolnik, aby mógł pole należycie uprawić, inwentarz ruchomy i nieruchomy wychować, udoskonalić, utrzymać w dobrym stanie, musi polubić umartwienie, t. j. zdobywać

się na siłę i energję w swoim zawodzie potrzebną — uczony przy swej książce, w dociekaniach, badaniach naukowych bez umartwienia niczego nie dokaże. Umartwienie, jak klucz, otwiera bramy wiedzy, sztuki, przedsiębiorstw i pobożności. Umartwienie razem z cnotą roztropności musi iść w parze—razem, jak artyści muzyczni, bardzo ładnie nam przygrywają.

Trzeba wiedzieć, że żadna cnota sama jedna się nie ostoi—sama jedna nie wyda tych owoców, jakichby się można spodziewać. Musi się cnota z cnotą kojarzyć, łączyć, jednoczyć, jedna od drugiej odbierać pomoc i regulację. Wtedy ich działalność okaże się widoczną i wydatną. Są pewne cnoty, co żyją w pokrewieństwie, tworzą jakby jedną rodzinę i familję — są sobie dłużne i od siebie zależne.

Tak np. cnota wstrzemięźliwości trzyma na wodzy i okiełzuje apetyt w jedzeniu i piciu i w tem, co nęci ku zbytkowności. Ona rodzi i pielęgnuje cnotę trzeźwości, hamując zmysłowe i zwierzęce instynkty i popędy. Ona jest podłożem i glebą cnoty czystości. Wyrasta na tym gruncie kwiatek cnoty skromności, dziewictwa i czystych obyczajów.

Znowu cnota obyczajowa sprawiedliwości wiąże się z innemi cnotami do spółki. Z niej wyrasta pobożność i religijność, t. j. uległość w poddawaniu się boskiej władzy. Ona nakłania do poważania autorytetu czyli wszelakiej

prawnej władzy. Ona jest matką cnoty posłuszeństwa i uległości. Z niej wykwita cnota wdzięczności—jest mistrzynią grzeczności, prawdomówności i cnoty miłosierdzia.

Cały ten zastęp cnót, rój i gromadę prowadzi, jakby kierownik we warsztacie i fabryce moralnej serca i rozumu—roztropność. Wszystkie te moralne kółka, różnorodne w maszynie i mechanizmie duszy w ich regularnym ruchu—mają się stosować do sprężyny, kierownika, moderatora—a tym jest cnota roztropności. Ona to w jeden system i harmonijną całość wszystkie świadome i dobrowolne ruchy wprawia, dogląda, nadzoruje, aby w duszy tak było, jak powinno.

Ale i ona może tracić siłę, energję—może się zmęczyć, nużyć, wyczerpywać, przygasać, jak ognisko, którego się nie podsyca paliwem—jak maszyna, w której kółkach i sprężynie wyschła, zużyła się oliwa lub inna smara.

Oliwą i paliwem jest umartwienie. Gdy się ono z roztropnością powiąże, ją nastroi, nakręci jak kluczyk przy zegarku—to roztropność doskonale uczyni rządy. Wniesie w nie szczęście, zrodzi zadowolenie, pomnoży wszelki dobrobyt. Okażą się jej dobre skutki na każdem polu, czy naukowem, czy gospodarczem, czy przemysłowem, czy wojskowem. Siła moralna ma przewagę nad fizyczną—i jest jej kierowniczką. Roztropny, umartwiony gospodarz na nie-

wielkim obszarze ziemi obfitsze stosunkowo zbierze plony, niż nieroztropny, nieumiejący się opanować właściciel wielkiego majątku. Dowódca roztropny i umiejący się zwyciężać z niewielką stosunkowo liczbą wojska potrafi takiego wodza pobić, co rozporządza tysiącami, miljonami żołnierzy, a grzeszy brakiem roztropności i bez rozkosznych rozrywek nie może się obejść nawet na polu walki. Mówiono wiele o tem w czasie ostatniej światowej wojny i zarzucano brak zwycięstwa siebie samych niektórym komendantom.

W tych dwóch czynnikach, w roz tropności i umartwieniu—w tych dwóch cnotach tkwi wszelka pomyślność w rządach, wszelkie powodzenie w każdej sprawie i poczynaniu.

To pouczenie i wyjaśnienie ogólnych zasad może być korzystne tak w życiu „cywila" jak i zakonnika — tak w rządach, administracji państwowej, jak i zakonnej—tak w kierownictwie zespołów i społeczeństw, jak i w osobistem, prywatnem każdego człowieka postępowaniu. Objaśnienie tej ważnej kwestji może być nawet potrzebniejsze ludziom świeckim, aniżeli zakonnym, dlatego, że o takich poważnych tematach nie chce się im ani słuchać, ani czytać, ani rozważać. Kwestje lekkie i zmysłom schlebiające wywierają większy urok na ich fantazję, niż tamte poważniejsze.

Dla osób zaś zakonnych jest to chlebem powszednim — codzienną lekcją w

klasztorach—codzienną strawą duchowną. Od zarania życia zakonnego o tem słyszą, o tem je uczą, o tem w książkach duchownych wyczytują — od swoich przełożonych przykład biorą — do cnoty roztropności, do umartwienia się pobudzają wszelkim sposobem.

Wielu w swem samolubstwie wyobraża sobie, że są zdolni do rządów. Pchają się na urzędy — innych wypychają lub im zazdroszczą. Zwyczajnie tacy ludzie nie są odpowiedni do kierownictwa, chociaż się im wydaje, że posiadają salomonową lub napoleońską głowę i lepiej od innych wszystko potrafią. Pycha ich łudzi, ambicja popycha w górę—nie znają siebie samych. Nie biorą w rachubę trudów w rządzeniu, przykrości, licznych kłopotów — ale honor, zaszczyt, własną chwałę, własny interes.

### 2. *Rządzenie w zakonach*

Zbawiciel powiedział do apostołów: Nazywacie mię mistrzem (magistrem). Jestem nim!—Niech jednak mistrz, przewodniczący, zwierzchnik będzie jakby służący, usługujący (minister) — do dyspozycji wszystkich — niech się uważa za jednego ze swych poddanych. Powiedział to wtedy, gdy swoim uczniom umywał nogi, i zostawił im przez to bezpośrednio przed swoją śmiercią testament pokory. Powiedział to w tym celu, aby wszystkich przełożonych pouczyć, czego się od nich domaga i co powinno

mieć wielką wartość tak w życiu świata, jak i w życiu zakonnem.

Roztropni kierownicy i kierowniczki w klasztorach pamiętają tę naukę Chrystusa o pokorze i starają się wprowadzać ją w praktykę. Wiedzą, że pokorna roztropność podoba się Bogu i jest doskonałym środkiem do zjednywania sobie serc poddanych. O pokorę łatwiej w klasztorach niż gdzieindziej, bo stan zakonny ma ją przedewszystkiem na celu. Gdy pokora z roztropnością się połączą, wydają inne cnoty, potrzebne do rządzenia—szczególnie miłość, wyrozumiałość, cierpliwość.

Warunki więcej sprzyjają do rządzenia w zakonie, niż w stanie świeckim. Środków jest pełno i są pod ręką. Podają je medytacje duchowne, częsta spowiedź, czytanie książek religijnej treści, wskazówki starszych, doświadczenie własne, przykłady wyrobionych w cnocie sióstr i braci zakonnych i cała atmosfera nastraja, pobudza, kształci, wyrabia i rozwija te pierwiastki, czynniki, które są potrzebne i konieczne do należytego rządzenia.

W zakonach niema „dziedziczności tronu". Dziś jesteś przełożonym, oficerem, a jutro, jak inni, musisz stanąć w szeregu, jako zwyczajny żołnierz — dzisiaj rozkazujesz, a jutro musisz słuchać, dzisiaj cię honorują, a jutro w kącie stawią. Zakonnik na to patrzy, z tem się oswaja i chętnie zgadza się ze swym losem, który sam sobie dobrowolnie

obrał. Nie ma na celu siebie, ale dobro ogólne, porządek regułą przepisany i chwałę bożą. Wie o tem dobrze, że życie zakonne jest drogą krzyża i zaparcia się siebie samego.

Mogą i tu wkraść się pewne *usterki*, błędy w sprawie rządzenia. Nie wszyscy są jednakowo roztropni, nie wszyscy w umartwieniu tak doskonali, żeby mogli być wolni od pewnych zboczeń i wykroczeń — nie wszyscy i nie wszystkie przełożone potrafią zastosować tę najważniejszą modłę, która w rządzeniu najgłówniejszą odgrywa rolę. Brzmi ta złota reguła: *„Rządź stanowczo—ale łagodnie"* *). To znaczy: bądź łagodnym i miłym w wydawaniu rozkazów i poleceń, ale stanowczo i odważnie domagaj się ich spełnienia.

Ponieważ ta reguła czyli zasada w swej ważności powinna przed innemi przyświecać przełożonym, rozwiniemy ją szerzej i na przykładach pokażemy, jak wyglądają rządy zbyt surowe i ostre—a jak wolne, rozluźniające i szkodliwe.

Niektóre wypadki rozluźnienia, laksyzmu:

a) Jeżeli przełożony lub przełożona kładzie nacisk na rzeczy wielkie, nadzwyczajne—lub stara się tylko wyrugować, usunąć rażąco skandaliczne zgorszenia—a nie uważa i nie dba o zachowanie przepisów drobniejszych i puszcza

*) „Suaviter in modo—fortiter in re".

płazem, przymruża oczy na zdrożności mniejszej wagi.

b) Jeżeli łatwo zmienia zdanie — to, co poleci, odwołuje bez ważnej przyczyny, zmienia, puszcza w niepamięć. Przyczyny tej zmiany nie są ważne. Może tylko dlatego tak czyni, że poddany (albo poddana) niechętnie to przyjmuje, krzywi się—albo inne osoby wstawiają się za nim (lub za nią). Nieraz nie chce przełożony narażać się na krytyki, dlatego ani nie napomina, ani nie karze winowajców, ani nie chce dochodzić sprawy, ale ją zaniedbuje, odkłada aż pójdzie w zapomnienie.

c) Jeżeli przełożony lub przełożona niby to dla pokory i łagodności, popularności pozwala na to, że go upokarzają, zaniedbują, gardzą jego poleceniami. Byłaby to pokora niewłaściwa i nieroztropna—którą nazywają „garbatą".

d) Wskutek naturalnej bojaźliwości upomina wprawdzie, ale tylko dla oka, pozornie, niedbale, żeby go nie doniesiono do wyższej władzy, że zaniedbuje swój obowiązek.

e) Jeżeli łatwo pozwala na to, co nie powinien. Pozwala dla jakichś względów ludzkich, że go n. p. proszą sympatyczniejsi, zasłużeni członkowie albo inne wpływowe osoby.

Przypatrzmy się znowu *rządom surowym, przykrym* na niektórych przykładach:

a) Jeżeli się nakłada, poleca, rozkazuje *rzeczy same w sobie ciężkie*, nie-

znośne. Czasem mogłoby się to zdarzyć, jeżeli przełożony lub przełożona jest pedantyczny, zanadto gorliwy, zanadto teoretyczny, rygorystyczny. Nie liczy się z tem, że duch i ciało nie idą równym krokiem. Duch wprawdzie ochoczy, ale ciało mdłe, słabe.

b) Rzecz sama w sobie nie jest ciężka, ale *osoba*, której się poleca, nie ma sił ani duchownych ani fizycznych do jej spełnienia, aby taki ciężar udźwignąć. Należy sprawę dokładniej zbadać, wierzyć wymówkom poddanego, choćby podlegał zbytniej imaginacji. Narazie zostawić go w spokoju, uledz jego urojeniom. Potem zaś, po dokładnem zbadaniu, szukać niegwałtownych sposobów, aby poddanego przekonać, że się łudzi.

c) Jeżeli *sposób rozkazywania* jest szorstki, opryskliwy, słowa przykre, postawa despotyczna. Jeszczeby było gorzej, gdyby wyglądało, że się poddanemu chce dokuczyć, upokorzyć go, zetrzeć na miazgę.

d) Jeżeli się naciera na poddanego, aby wtedy rozkaz wykonał, kiedy nie jest usposobiony, nie zostawia się mu ani czasu do przygotowania, ani środków pomocnych, aby się przysposobił n. p. do uczenia w szkole lub innych trudniejszych zajęć, do których trzeba włożyć wiele pracy, wiele przygotowania.

e) Jeżeli się rozkazuje, urguje z jednakową stanowczością, jednakowym

tonem i konsekwencją tak rzeczy ważne, wielkiej doniosłości, jak i rzeczy drobne, mniej ważne, drobiazgowe. Może nawet przełożony lub przełożona więcej wagi przywiązuje do rzeczy małych, drobnych, niż do wielkich i ważnych.

Przypomina mi się anegdotka o burmistrzu i o sikawce.

Paliło się na dobre w mieście. Wszyscy oglądają się za sikawkami. Wołają na burmistrza, aby je wydał.

— Nie dam,—mówi stanowczo naczelnik miasta,—bo jeszcze nie pomalowane. Porządek musi być i basta!

Upór o drobnostkę całe miasto o wielką szkodę przyprawił. Dobra i potrzebna jest troska o małe i drobne rzeczy, ale żeby przez to większe i ważniejsze nie ucierpiały.

f) Jeżeli się z góry odrzuca wszelkie racje, wszelkie tłumaczenia się, przedstawienia, ekskuzy—albo na pierwsze zaraz wejrzenie, nie zbadawszy istoty rzeczy, uważa się wymówki podwładnego (lub podwładnej) jako zachcianki, wymysły, grymasy i fantazje, nie wysłuchawszy go cierpliwie.

g) Jeżeli przełożony lub przełożona okazują się *podejrzliwymi* wobec poddanych i tak usposobieni, że ich podwładni nigdy nie mogą zadowolnić. Cokolwiek zrobią, krytykuje się i gani—szuka się dziury na całem—wszystko na złe tłumaczy—nie podniesie, nie zachęci, nie uzna, chociaż poddany oka-

zał pewne oznaki poprawy i włożył w swoją pracę wiele gorliwości i poświęcenia.

h) Jeżeli się wydaje *niejasne, dwuznaczne* rozkazy i polecenia. Nie wiedzą poddani, co i jak czynić. Czasem takie zachowanie się władzy wygląda, jakby nie chciała być zrozumianą, żeby mieć zawsze haczyk, pretekst do zaczepki i strofowania. Zwyczajnie taki przełożony lub przełożona tłumaczy rzeczy wątpliwe i mniej jasne ostrzej, ciaśniej, więcej skrupulatnie, na niekorzyść podwładnego.

i) Jeżeli prawie zawsze odmawia tego, o co się prosi. Należy baczyć przy przedłożeniu prośby na rzecz, o którą się prosi—na osobę, która zanosi prośbę, która może być zasłużona, spracowana, chora—na korzyść dla proszącej osoby i na zbudowanie czy to domowników czy obcych.

Powyższe wskazówki i uwagi mogą być na swój sposób zastosowane na różnych stopniach władzy i we wszystkich jej zakresach, czy świeckiej czy duchownej, i mogą się wiele przyczynić do wydoskonalenia się w sztuce rządzenia.

Możnaby jeszcze dodać parę słów, odnoszących się szczególnie do zakonnych zgromadzeń *żeńskich.*

Przełożona, czy całego zakonu, czy prowincji, czy pojedyńczego domu, powinna mieć na sercu sprawy ogólne, dotyczące całego Zgromadzenia, tak jak

jej własne,—sprawy wszystkie, i duchowne i materjalne—odnoszące się do dyscypliny, szkół, czystości i ozdoby kościołów, kaplic pod zarząd Sióstr oddanych we wszystkich domach.

Powinna mieć przed oczyma dobro duchowne i fizyczne wszystkich Sióstr, czy chórowych czy nie chórowych, jakby były szczególną miłością z nią związane. Niech się stara kochać je jeszcze więcej niż swoje rodzone siostry tej samej matki i ojca. W rodzinach świeckich nie zawsze i nie wszędzie widać miłość między najbliższem nawet rodzeństwem, Nie chcą się czasem siostry znać i widzieć. Jednaką miłość należy okazywać Siostrom, czy pochodzącym z rodzin szlacheckich, bogatszych, głośnych, czy z ubogich, czy w sierocińcu wychowanych—czy Siostrom gładkiego i miłego oblicza, czy nieurodnym, nawet odstręczającej powierzchowności. Miłość nie patrzy na okrasę ciała, na ruchy eleganckie, nęcące, ale na duszę i charakter. Nie powinno się ku tym szczególnym afektem skłaniać, które nas adorują lub uwielbiają—ale i ku takim, co są niewdzięczne, niespokojne, burzliwe, co nas nieraz ostro językiem dotkną i nigdy z niczego nie są zadowolone.

Miłość, wyrozumiałość powinna i względem służby mieć dobre serce, aby ta służba się czuła, jak dzieci w jednej, wspólnej, życzliwej familji, przy jednem ognisku rodzinnem, ożywiają-

cem, ogrzewającem miłością Boga i bliźniego.

Jeszcze nam trzeba parę słów dodać o tem, co uprzedzeni do zakonnego życia szczególnie podnoszą, na co najbardziej uderzają.

Posłuchajmy ich głosów!

## ROZDZIAŁ VII.

### Usterki w zakonach czyli zarzuty uprzedzonych do zakonów i ich wrogów.

Jechał koleją razem z protestanckim pastorem Jezuita niemiecki—ale przebrany zupełnie po świecku. Były to czasy, w których z Niemiec ten zakon wyrzucono i dostępu mu zabroniono. Rozgadali się na dobre i polubili. Pastor poznał, że ma z katolikiem do czynienia, i wyraził się: „Żeby to wszyscy katolicy takimi byli jak pan—toby nie było trudności ich pokochać i uwierzyć, w co wierzą!" Ośmielony i zachęcony Jezuita tą mową: „Ja jestem jeszcze czemś więcej niż zwyczajny katolik,— powiada — ja jestem księdzem katolickim!" — Pastor mu nie chciał wierzyć. „Niechby i tak było, jak pan mówisz. Dziwno mi jednak, że księża katoliccy tacy grzeczni i mili, ja sobie ich inaczej wyobrażałem. Czy pan naprawdę jesteś księdzem? Zaczynam do nich przez pana nabierać szczególniejszej sympatji. Gdyby wszyscy księża

katoliccy tacy byli jak pan—jabym się chętnie do katolików przyłączył we wierze". Zakonnik ów przebrany lękał się zdradzić przed pastorem, że nawet jest Jezuitą. Bał się, aby go kto nie podsłuchał i nie doniósł do władzy. Dopiero gdy się żegnali, powiedział pastorowi na ucho: „Ja nawet jestem Jezuitą!" Zdumiał się pastor i popędził za Jezuitą: „To być nie może! Przecież Jezuici to łotry, gałgany, draby—a pan taki dobry, kochany, światły!".

I ten pastor, jak słyszałem, zawiązał korespondencję z Jezuitą, dał się oświecić, powybijać z głowy uprzedzenia do Kościoła katolickiego i do zakonów. Miał zostać katolikiem.

W protestantyzmie i nienawiści do katolicyzmu trzymała go ignorancja, czyli nieświadomość, co to są katolicy. Przypadek odsłonił mu prawdę i inaczej, korzystnie usposobił do naszego Kościoła.

Podobnie dzieje się wśród samych katolików—przedewszystkiem w stosunku do zakonów. Nasłuchają się bredni, uprzedzeń i to ich nastraja nieprzychylnie, a nawet wrogo.

Cóż słyszą?

1) *Zakony* — mówią uprzedzeni — *są ciężarem, a nawet pasożytami społeczeństwa.*

Czy klasztory nic dla ludzi nie czynią—czy tylko jałmużnę od nich wyciągają? Czy rząd i społeczeństwo musi na nie składać i wybierać przymu-

sowe, obowiązkowe podatki? Klasztory utrzymują się same, czy to ze swego nieruchomego majątku, który dobrodzieje fundatorowie zostawili, czy to z codziennego zarobku.

Niektóre klasztory kwestują między ludźmi—powiecie. Kwestują, ale gwałtem nie wyciągają nikomu pieniędzy z kieszeni. Ta zaś jałmużna dobrze się procentuje ofiarodawcom. Mogą korzystać z nabożeństw, usług duchownych po klasztorach: zakonnicy śpieszą do chorych, słuchają spowiedzi, zachęcają z ambon do znoszenia ciężaru krzyża, modlą się i odwracają gniew boży, ściągają błogosławieństwa z nieba.

Żalili się raz obywatele ziemscy pewnemu biskupowi, że ich za często kwestarze nachodzą. Prosili, aby biskup temu zaradził. „Właśnie dlatego tak się dobrze panom powodzi i macie wbród wszystkiego, że jesteście miłosierni i dzielicie się z biednymi swoją własnością. Jak przestaniecie miłosierdziem szafować, zejdziecie na nic". Kto wie, czy ów biskup nie dobrze trafił.

Takie klasztory, które biorą zapomogi z publicznych funduszów, albo wcale nie kwestują, albo bardzo rzadko. Zapomogi otrzymują za prowadzenie szkół publicznych, za usługę w szpitalach, za prace przy duszpasterstwie, za zajęcia wychowawcze i dobroczynne. Nie są więc nikomu ciężarem.

Weźcie pod uwagę, coby to za trudności, niedogodności miało społeczeń-

stwo, gdyby klasztory pokasowano i tę wielką liczbę zakonników i zakonnic zmuszono w świat powrócić! Sekularyzowani zakonnicy objęliby wiele posad, pensji — pozbawiliby zarobku mnóstwo osób. Ich zdolności i cnoty, sumienność w wypełnianiu obowiązków dałyby im pierwszeństwo przed innymi. Byliby oni na różne pozycje i zajęcia bardziej przydatni i pożądani, niżli świeckie osoby.

Powtóre. Państwo musiałoby się troszczyć o te szkoły, szpitale, ochronki, przytułki, które przedtem przy klasztorach były utrzymywane. Musiałoby wspierać, żywić te rzesze biedaków, które przy furcie klasztornej były zaopatrywane. We Francji n. p. po zniesieniu zgromadzeń zakonnych tysiące ubogich przymierało z głodu, oświata podupadła, dzieci zaniedbane stały się przedwcześnie zbrodniarzami. Do szpitali rządowych, gdzie się znajdowali zakażeni różnemi niebezpiecznemi chorobami, ani za pieniądze nie można było znaleść pielęgniarek, bo się lękały o swoje życie. Zakonnicy i zakonnice sami się wpraszali do tych niebezpiecznych usług i zajęć.

Powie ktoś:

— Zakony czynne mogą nie być ciężarem dla społeczeństwa — ale mam na myśli zakony *bogomyślne*, *kontemplacyjne*, które społeczeństwo musi wspierać.

Najpierw. Takich zakonów jest bardzo mało—a jeśli są, mają od swych dawnych dobrodziejów i fundatorów za-

bezpieczenie. Jeżeli zaś to zabezpieczenie z biegiem czasów znikło, albo stało się niewystarczającem—to nie ich wina. Ci, co ich pokrzywdzili i nieprawnie środków do życia pozbawili, powinni za to odpowiadać i do restytucji się poczuwać.

To, co oni czynią dla dobra ludzkości przez swoje błagalne modły, umartwienia i poświęcenia, jest tak wielkie i tak ważne, że zrównoważy albo przewyższy te drobne, marne datki, jakie społeczeństwo na nich wydaje. Czy więc można je nazwać plagą? Ile się to wydaje na prawdziwe plagi—na szkodę, zagubę duszy i ciała! Ile ofiar wymagają i wyłudzają niemoralne rozrywki, brzydkie, gorszące kina, teatry, plugawe książki, domy nierządu i inne takie szatańskie machinacje! Jeżeli innym wolno szkodzić, zajmować się zgubną i szkodliwą robotą, czemużby nie wolno było zacnym, pobożnym osobom, naszym rzecznikom i obrońcom przed majestatem Boga, stróżom porządku publicznego, uprawiać zajęcia ze wszechmiar wzniosłe i nam nadzwyczaj pożyteczne? Czy im się nie należy wdzięczność i wsparcie? One za nami pośredniczą przed Bogiem—łaski nawrócenia wypraszają—kary boże powstrzymują—za nas czynią pokutę, nas uświęcają!

Za potrzebą zakonów i klasztorów i za ich wspieraniem przemawia jeszcze inna racja.

Życie burzliwe albo bolesne zawody, rozczarowania wzbudzają u bardzo wielu ludzi wstręt do świata, do jego obłudy, pychy, samolubstwa. Ludzie, co te świata mamidła i zasadzki poznali, nie chcą znać świata, bo się czują wśród niego nieszczęśliwymi. Radziby usunąć się od niego i w jakiej cichej przystani służyć samemu Bogu. Dla tych usposobień są właśnie klasztory potrzebne. W nich znajdą spokój, uszczęśliwienie, pomoc dla duszy i drogę pewną do jej zbawienia. A czy to nie są krewni nasi, powinowaci, przyjaciele, bracia i siostry? Czy nie są członkami społeczeństwa? Jeśli więc dla nich zakon jest pożyteczny, im oddaje ważne usługi, to tem samem jest pożyteczny dla całego społeczeństwa.

2. Słyszy się nieraz:

Że w klasztorach prowadzi się *życie wygodne*—nieraz tak wolne, że to *wywołuje zgorszenie.*

Co do życia wygodnego—na czemby ono mogło polegać? Chyba na tem, że obfity podaje się posiłek i że nie ma się dostatecznego zajęcia.

*Najpierw* — nieprawdą jest, że we wszystkich klasztorach obficie karmią. Tryb życia, zastawa przy stole we wielu zgromadzeniach jest bardzo prosta i skromna. Nie mówię już o jednorazowym dziennym posiłku u Trapistów—o całorocznym poście i nocnem wstawaniu u Karmelitanek i o innem dobrowolnem, celowem umartwieniu zmy-

słów, o dręczeniu ciała i żądz jego—jak się we wielu klasztorach praktykuje tak, że wzbudza zdziwienie, jak to można wytrzymać. Popatrzmy, jak żyją np. Siostry Felicjanki, Serafitki, Służebniczki i inne? Posiłek bardzo skromny i mierny. Zamożniejszy gospodarz na wsi lepiej i obficiej żywi swoją rodzinę i domowników. Każdy krok skrępowany posłuszeństwem, każda godzina od świtu do zmroku naprzód obliczona, czem ma być zapełniona. Wspólne ćwiczenia pobożne, mianowicie rozmyślanie, czytanie duchowne, słuchanie Mszy św., adoracje Najśw. Sakramentu, oficjum o Najśw. Pannie Maryi—to znowu prace umysłowe w szkołach, ochronkach, administracji, to wreszcie prace ręczne w kościele, w domu, ogrodzie, kuchni, pralni, szwalni, gospodarstwie, tak że o próżnowaniu ani myśleć nie mogą. Przeciwnie. Z braku czasu odrobić się nie mogą. Nieraz się żalą, że na prywatne nabożeństwo wolnej chwili im nie zostaje. Klasztor nieraz wygląda na zewnątrz okazale, wielki, ozdobny. Wewnątrz ciasny i niewygodny. Siostry nie mają osobnych pokoików. Prawie wszystko jest wspólne: jadalnie, sypialnie, pracownie, infirmerje. Odzienie w lecie i w zimie niewygodne, mnóstwo postów i pokutnych praktyk. Przy tem wszystkiem klauzura trzyma na uwięzi, nie pozwala wychodzić z klasztoru bez ważnego powodu i pozwolenia przełożonych.

Gdzież jest to życie wygodne i przyjemne, które się zarzuca i przypisuje klasztorom? Gdyby tam było tak wygodnie, tak miło i rozkosznie, jak uprzedzeni mówią, toby się wszyscy do klasztorów cisnęli. Tymczasem uskarżają się zakony na brak powołań, brak sił do pracy. Niejeden i niejedna ciężko przez życie się przebija i niedostatek cierpi, a jednak do klasztoru wstąpić nie chce. Woli żyć swobodnie, światowo i hulaszczo, aniżeli—jak mówi—„żywcem w klasztorze się pogrzebać". Niechże przynajmniej taki nie wymyśla na klasztory, że tam sobie dogadzają i żyją swobodnie, dobrze.

Powiecie na to: gdyby im tak w klasztorze ciasno, niewygodnie i głodno było, nie wyglądaliby tak wesoło, pogodnie, jak ich widać i jak się okazują.

Prawda, że są weseli, lecz skąd to pochodzi? Nie z dogadzania sobie, nie z braku wszelkiej troski, ale z czystego sumienia, wewnętrznego pokoju i z tej świadomości, że służą Bogu i od Niego otrzymają nagrodę. Człowiek występny i wyuzdany, patrząc na prostotę i zadowolenie w klasztorach, czuje wyrzuty i zazdrości wesela duchownego osobom zakonnym. Aby samego siebie, jak faryzeusz, usprawiedliwić i ukoić swoje duchowne rany i bóle, podejrzywa je, że występne prowadzą życie.

Po drugie. Prawdą jest, że w niektórych klasztorach obficiej stół zastawiają. Lecz w jakim celu?

Ty możesz zjeść i wypić, kiedy chcesz, co chcesz, gdzie chcesz i jak chcesz. Możesz sobie w każdej chwili kazać podać posiłek, czy w dzień czy w nocy— możesz sobie wybrać potrawę i zaprawę, jaka ci się podoba, możesz wejść do restauracji, do jadalni publicznej, do kawiarni i szynku, i tam sobie dogodzić— możesz wstąpić do krewnych lub się wcisnąć na obiad lub na przekąskę gdzie masz ochotę. Czy osoba zakonna ma tę swobodę? Jeśli nie ma, to jej trzeba przy ogólnym, wspólnym posiłku w klasztornej sali jadalnej o oznaczonej godzinie tego dostarczyć, czego jej potrzeba do zaspokojenia głodu na czas dłuższy.

Wielu zakonników i zakonnic nie cieszy się normalnem zdrowiem—zapadają szczególnie na żołądki. Nie każda potrawa im służy—niektóre dania są im nawet szkodliwe. Niech sobie przy obfitszej zastawie stołowej wybiorą, co ich żołądek znosi i co posłuży do zdrowia. Gdyby im wyboru nie zostawiono, odbiłoby się to na kosztach i wydatkach na medycyny, lekarstwa. Czemże się posilą, gdy jedną lub drugą tylko potrawę w szczupłej ilości postawisz im na stole? Jakże żyć będą, skoro im nie wolno szukać, kiedy zechcą, co zechcą i jak zechcą posiłku?

Lecz odnosi się to nie tylko do osób słabowitych i chorych. Cały dom, cały klasztor poniósłby szkodę, gdyby jego członkom nie dostarczono obfitszego po-

żywienia. W jaki sposób poniósłby szkodę?

Gdyby im nie podano obficiej, czego im trzeba, byliby zmuszeni sami na własną rękę zaopatrywać się w pokarm, odzienie i inne potrzebne rzeczy. Co by z tego wynikło? Chaos, zamieszanie, nieład, rozluźnienie dyscypliny klasztornej. Każdy by sobie osobno radził, każdy by się zaopatrywał w wiktuały, w napój, odzienie. Znikłoby życie wspólne, wygasłaby karność, zwietrzałby duch zakonny. Powstałby wielki skandal.

A tak, gdy całą prowizją zarządza jeden, gdy jeden, jako przełożony, zaopatruje całość w to, czego jej potrzeba, i nie skąpi w wydatkach na pożywienie i na inne potrzeby—dyscyplina, karność, ład, duch zakonny się utrzymuje, wzrasta, budująco oddziaływa na wszystkich.

Jeszcze coś więcej. Chociaż obficiej podaje się do stołu, nikt nie ma obowiązku, żeby wszystko naraz pochłonąć, co przed nim stoi. Ma sposobność okazać, że „królestwo boże nie polega na jedzeniu i piciu", jak Pismo św. mówi. Polega ono na tem, żeby umieć zapanować nad sobą, nad swoim apetytem, poskramiać namiętności—środka nie używać za cel, ale tylko za środek, i tak przez rzeczy widome i zmysłowe wzbijać się w górę do najwyższego, ostatecznego celu—do Boga.

Jeszcze i na to trzeba zwrócić uwagę, że zakonne osoby muszą się stykać z ludźmi zamożniejszymi, kulturalnymi,

wysoko w hierarchji społecznej postawionymi. Muszą u nich bywać, i zasiadać przy ich stole. Gdy się w domu, w klasztorach nauczą, jak się zachować przy obfitszym posiłku, jak się powściągać przy jedzeniu i piciu, to i w wyższych sferach zaimponują cnotą, dadzą dobry przykład swoją powściągliwością i umartwieniem i dadzą dobrą lekcję smakoszom, gastronomom i sybarytom, którzy te ziemskie, marne rzeczy uważają za największą przynętę, uszczęśliwienie—za cel swojego życia.

Trzeba wreszcie i o tem wiedzieć, że w klasztorach podaje się obfitszy posiłek głównie w *dni uroczyste*, odpustowe. Ma się na myśli gości i ich przyjemność. Gość zaś sądzi, że tu tak zawsze bywa, że zakonnicy tak sobie codziennie dogadzają. W swym nierozsądku trąbi, rozgłasza, co widział, czem się rozkoszował w klasztorze, i szerzy bajki, dopuszcza się obmów i oszczerstw. Stąd przeważnie płyną owe niemądre plotki, ubliżające zakonnikom i ich zniesławiające. Zamiast okazać wdzięczność za miłe i serdeczne przyjęcie, rzucają kamieniem za chleb.

---

Jeszcze parę uwag *o zgorszeniu*, jakie uprzedzeni do zakonników i do zakonów mają widzieć w klasztorach.

Prawdy nie chcemy ukrywać i tuszować. Zdarzały się, niestety, wypadki smutne, ubolewania godne, gdzie się

zakradło rozluźnienie karności i życia wspólnego. Wypadki te jednak były i są rzadkie. Byłoby nierozumnem z powodu jednego występnego zakonnika cały klasztor i zgromadzenie podciągać pod tę samą rubrykę i chcieć je rozpędzić! Zakonnik jest tak, jak inni ludzie, ułomny. Ani habit, ani śluby, ani klauzura nie zabezpieczą go przed upadkiem, ani nie odmienią, jeżeli nie będzie zwyciężał namiętności, nie będzie poskramiał swych zmysłowych, dzikich instynktów. Dobrze wiemy, że na jego upadek czyhają wrogowie Kościoła i zakonów — wolnomyślni dziennikarze, plugawi pisarze i ich agenci reporterzy. Mają żer złe gazety, nieuczciwe pisma, mają sensacyjną strawę dla swoich lekkomyślnych czytelników. Gdzie się znajdzie ścierwo, padlina, zgnilizna, tam się i kruki zlatują, robactwo się wylęga. W tem gra rolę i piekło i złe duchy. Jeżeli nas wszystkich tropią, prześladują, czyhają na nasz upadek i zgubę — to tembardziej na duchowną osobę.

Może niejeden nie zechce uwierzyć w to, co opowiem, i będzie uważał za wymysł fantazji. Nam wystarczy, że nie jest to wierze przeciwne i zawiera myśl budującą.

Opowiada mianowicie pewien pisarz kościelny, jak to djabłu wiele na tem zależy, żeby duchowną osobę złowił i podał w pogardę u ludzi.

Herszt djabłów—pisze—odbierał raport od swych szatańskich towarzyszy,

których wysłał na świat, aby sidła zastawiali na dusze. Pierwszego, co stanął przed nim, pyta się: „Gdzieś był i coś robił?".—„Okręt nabity pasażerami zatopiłem. Bawili się nieprzyzwoicie, rozpustowali—a ja wznieciłem burzę i wszystko poszło w grzechach na dno. Było ich tam kilka tysięcy".—„Ileś czasu na ten podstęp poświęcił?"—„Tylko dwa tygodnie".—„Toś przez ten długi czas niewiele zrobił—zasłużyłeś na karę!"

Przyszedł drugi szatański agent: „A ty gdzie byłeś i co zrobiłeś?" — pyta wódz djabłów. —„Ja ogromne miasto podpaliłem podczas karnawału, kiedy to ludzie jakby poszaleli i w występkach brodzili. Takem się sprytnie zabrał do tej mej roboty, że ani nie spostrzegli, jak ich ogień wszystkich na węgle zmienił".—„Ile cię ta robota czasu kosztowała?"—„Tydzień tylko".—„Toś się źle sprawił. Można było prędzej z tem się uporać! Odejdź! Kara cię czeka!"

Nadszedł trzeci emisarjusz piekielny.—„Gdzieś był i coś dla piekła zrobił?"—„Jam pustelnika do grzechu przywiódł. Był to mąż świątobliwego życia, poważany od wszystkich. Schodziły się do niego tłumy. On je do dobrego swemi kazaniami nawoływał. Składały mu jałmużny, których używał na stawianie kościołów, na zaopatrywanie ubogich i opuszczonych. Podsunąłem mu niewiastę, co go do grzechu skusiła. Zgorszenie nadzwyczajne! Ludzie się o tem dowiedzieli — stracili doń i do innych

zakonników wszelki szacunek — wiarę, religję, spowiedź sobie obrzydzili i spoganieli." — „Jak długo nad tem pracowałeś?" — Cały rok mi zeszedł na tym podstępie". — „Dziwno mi, żeś się tak prędko sprawił. Popisałeś się dzielnie! Dokonałeś w krótkim czasie czynu nadzwyczaj doniosłego! Czeka cię nagroda niepoślednia!"

Nikt wprawdzie djabłów nie podsłuchał, jak takie inkwizycje i protokóły prowadzili i sprawozdanie składali. Wiemy jednak, że to niezrównani siewcy zgorszenia, łowcy dusz najsprytniejsi, że tam swe sieci i sidła zakładają, skąd się najlepszego połowu spodziewają. Nie trzeba się dziwić, że ich agenci, nikczemni gazeciarze, szatańskiego sprytu uwodziciele i gorszyciele, najbardziej księży i zakonników mają na oku — bo jak ich ułowią, wiele sprawie bożej zaszkodzą.

Duchowni wogóle i osoby klasztorne podobne są do tych, co na wojnie stoją na czele. W kogo to nieprzyjaciel najbardziej godzi. Czy w zwyczajnego żołnierza, czy w oficera? Że prostego żołnierza pozbawi życia, jeszcze nie wiele wskórał. Gdy zaś kapitana strąci z konia, cała kompania idzie w rozsypkę. „Uderzę pasterza, a rozprószą się owce," — powiada Pismo św. My, duchowni, prowadzimy wojnę Chrystusową do zwycięstwa. Jeżeli my wpadniemy w sidła wroga i damy się pokonać—wiele z tego zgorszenia. Ludzie

zwyczajnie nie odróżniają kapłana i osoby zakonnej od wiary—biorą za jedno. „Jeżeli to—mówią—ksiądz lub zakonnik zrobił, to ja już w nic nie wierzę—nie pójdę ani do kościoła ani do spowiedzi". Takie rozumowanie nie jest mądre, bo co innego wiara i religja, a co innego kapłan albo zakonnik. Judasz zdradził Pana Jezusa i powiesił się. A czy Piotr, Jan, Jakób i inni apostołowie, którzy o tem wiedzieli, poszli za nim? Czy i oni ze stryczkiem wyszli na drzewo?

Buntowniczy aniołowie porwali się na Boga i chcieli Go tronu wiecznej chwały pozbawić. Czy i ci, co Mu zostali wiernymi, poszli w ich ślady? Sędzia albo inny urzędnik sprzeniewierzy się obowiązkom i grubo nabroi. Czy prawo, paragrafy dlatego są niedobre?

Czytając lub słuchając o zgorszeniach podanych w pismach, nie trzeba zaraz wierzyć i chwytać za kamień potępienia. Czytelnik zrównoważony i rozumny bada sprawę, czeka na sprostowanie lub odwołanie, informuje się i w rzecz głęboko wgląda. W rzeczywistości w wielu wypadkach okazało się później, że kapłan lub zakonnik niewinnie był potępiony—lub że nie tyle zawinił, ile mu zarzucono. „Z igły zrobiono widły — z komara, wielbłąda"— jak się to mówi.—Może być, że fałszywy krok zrobił lub że pozory przemawiały przeciw niemu. Lecz gdy się to rozniosło, od ucha do ucha przeszło,

po drodze tak urosło, tak ohydną przybrało postać, że się z tego zrobiła zbrodnia o pomstę do nieba wołająca. Tak często bywa. W rzeczywistości był nietakt, nieoględność, drobnostka, na którą szkoda było zwracać uwagę i nią się niepokoić.

Gdy chodzi o kapłana lub zakonnika, złośliwość ludzka nie przebiera. Zapomina się o jego zasługach i poświęceniu. Wbija się oczy tylko w jego ułomność i upadek, jak mucha albo robak, co się zgnilizną żywią, obraca się, przewraca, nicuje, gryzie, targa i poniewiera swój kawałek.

Jeśli chodzi o upadek świeckiej osoby, wiele się jej przebacza—nawet broni, usprawiedliwia—zwłaszcza gdy to nasz krewny, powinowaty, dobrodziej i przyjaciel. Dobre dziecko szanuje sławę swojego ojca, broni go, choćby zawinił. Zakonnicy pod wieloma względami łaski nam wyświadczają, dobrodziejstwa duchowne i ziemskie na nas przez nich spływają. Nie powinno nam być trudno stanąć w ich obronie i jak ojców zasłaniać przed zniewagami zjadliwych.

Chociażby w klasztorach i nie było zawsze i wszędzie, jak być powinno, jednak pod względem obyczajów między zakonnikami a świeckimi jest wielka różnica. Jeśli chodzi o występki, to w zakonach można ich znaleźć bardzo mało i rzadko. Jeśli zaś chodzi o cnotę i świętość, to jest ich tam jak naj-

więcej, często wzniosłością zadziwiających.

Przy tej sposobności należy sobie przypomnieć i odświeżyć, co nas uczono z ambon i na katechizmowych wykładach o zgorszeniu.

Co znaczy kogo zgorszyć? Uczynić kogo gorszym, czyli dać mu okazję do upadku duchownego. Uczynić kogo gorszym można winnie, albo niewinnie — dobrowolnie, świadomie, ze złą intencją— albo przypadkowo, nie chcąc, mimowoli, nie przewidując, że z tego złe wypłynie. Można kogo przypadkiem, przez nieostrożność potrącić, a on upadnie, zleci w przepaść, pokaleczy sie lub zginie. Nie chcieliśmy, nie przewidywali— a złe się stało. Można zaś naumyślnie popchnąć, wyprowadzić na zgubę. W ten sposób gorszyciel odgrywa rolę szatana, sieje naumyślnie kąkol, aby zaszkodzić.

Rodzaj zgorszenia niewinnego, przypadkowego często się trafia. Szkodzi wprawdzie temu, który się gorszy— ale temu nie szkodzi, co jest uważany za gorszyciela.

Pewien ksiądz zakonny, co się zajmował duszpasterstwem, został doniesiony do biskupa, że się upija. Biskup go wzywa i tnie mu reprymendę.

— Ja — mówi oskarżony—należę do abstynentów—żadnych napojów spirytusowych nie używam.

— Jednak mówiono mi, że chodzisz jak pijany.

— Mam słabe, zreumatyzmowane nogi i ledwie niemi ruszam.

— Niech się ksiądz przejdzie po tym pokoju.

Ksiądz zrobił parę kroków, utykając na nogi.

— Widzę, żeś i teraz nie trzeźwy — mówi biskup.

— Teraz jest dziesiąta godzina — za godzinę muszę wyjść ze Mszą św. Jestem naczczo — ani napoju ani jadła nie miałem w ustach. Więc jakże mogę być pijany? Ludzie widzą mnie chwiejącego się na słabych nogach i pijaka ze mnie zrobili.

To wyjaśnienie sprawy wystarczyło, żeby niewinność kapłana wyszła na jaw.

Ja sam, który to piszę, dałem takie zgorszenie oficerowi austrjackiemu w Krakowie — a nie poczuwam się do winy.

Musiałem wcześnie wychodzić z domu rano, aby stanąć o godzinie szóstej przy ołtarzu w kościele Sióstr zakonnych, odległym od mojego miejsca pobytu przeszło pół godziny pieszej drogi. Raz zimową porą, gdy jeszcze było ciemno, zetknąłem się z oficerem austrjackim, który wracał po nocnej pohulance ze swego kasyna. Spostrzegłem, że się ledwo trzymał na nogach, widocznie dobrze podchmielony. Gdzie mnie wypadła droga—i jemu także. Gdym był już u celu i wchodził w bramę na dziedziniec kościoła klasztornego, on stanął i głośno w te słowa się odezwał: „Po-

winieneś się ksiądz wstydzić, że tak późno wracasz do domu!"—Zapraszałem go na Mszę św., którą zaraz miałem odprawić—ale nie poszedł. Wziął ze mnie zgorszenie, którego ja nie dałem. Według siebie i mnie osądził. Kto się uraczy czosnkiem albo cebulą, u innych ten sam zapach wyczuwa. Przez jakie kto okulary patrzy—tak widzi.

Faryzeusze na boskiem słońcu naszego Zbawiciela widzieli plamy. Uważali Chrystusa za zbrodniarza, chociaż był Synem Bożym. Dlaczego tak widzieli? Bo sami mieli grube plamy na sobie. Powiedział im Zbawiciel: „Widzisz źdźbło w oku brata twego—a belki w twojem nie widzisz?—Obłudniku, wyrzuć pierwej belkę z oka twego: a wtedy przejrzysz, abyś wyrzucił źdźbło z oka brata twego." (Mat. 8,3—5)

Żeby to tylko skończyło się na tej osobie, która zgorszenie wywołała. Skutki i następstwa zgorszenia rozlewają się dalej, jak powódź lub lawina, i straszne nieraz szkody czynią.

Źdźbło lub belka, o których Pan Jezus mówi, chociaż wyjęte, taką nieraz mogą skazę zostawić, tak podrażnić, że się oko załzawi, poczerwienieje, zaropi i ślepotą zagrozi. Źdźbło i belkę zgorszenia nieraz się wyjmie, czyli odwoła się i naprawi, a skaza pozostanie, t.j. rozjątrzenie, niechęć, wstręt i inne złe następstwa. Zarażeni i podrażnieni nie wiedzą, że źdźbło i belka już wyjęte, że szkodnik i gorszyciel zrobił,

co powinien, co mu sumienie dyktowało. Trucizna, zaraza, rozdrażnienie rozszerza się i posuwa się dalej. Któż to powstrzyma?

Stary i wielki brytan zerwał się z legowiska i zaczął hałasować. Małe pieski pobudziły się, za nim ruszyły. Brytan obleciał dom dookoła, a widząc, że się darmo trudzi, bo złodzieja nigdzie nie widać,—położył się i uspokoił. Pieski jednak dalej latały i szczekały, zaczepiały kogo się dało. Same nie wiedziały, za czem gonią.

Ktoś z poważniejszych ludzi rzucił się z językiem na klasztory. Przekonawszy się, że niepotrzebnie ujada--ucichł. Inni jednak, młodzi i popędliwi, pobudzeni głosem starszego—rozpuścili swoje języki: „Precz z zakonami—precz z pasożytami i ciężarem społecznym!" Wrzeszczą, aż uszy puchną. O co im chodzi? W czem zawinili zakonnicy—sami nie wiedzą. Krzykiem mącą, burzą opinię i źle usposabiają publiczność. Rządy państwowe, jeśli są liberalne i wrogo nastrojone ku klasztorom, korzystają z tej sposobności. Nikt nie dociera do źródeł, nikt sprawy głębiej rzeczowo nie dochodzi, w czem właściwie zawiniły zakony. Krzyki, wrzaski i ujadania—to cały dowód, aby wypchać, wyrzucić zagranicę cnotliwych i świątobliwych ludzi, zagrabić im dobra i mienie.

Tak się nieraz zdarzało w różnych państwach.

Pewien znany w historii herezjarcha, narobiwszy wiele zgorszenia—przejrzał, upokorzył się i odwołał swoje gorszące pisma. Gdy umierał, takie słowa wyszły z ust jego: „Odwołałem moje nauki, jako fałszywe—moje książki spaliłem. Ale te książki rozeszły się w odbitkach po całym świecie. Czytelnicy nie wiedzą o mej poprawie i te moje pisma czytają dalej i innych zarażają. Obym miał taką trąbę, której głos możnaby było dosłyszeć na krańcach świata—stanąłbym na śmiertelnej pościeli i doniosłym głosem przestrzegłbym moich czytelników, żeby te zgubne dzieła zniszczyli!"

Głos sumienia i prawdy powinienby natchnąć nieprzyjaciół klasztorów, aby na tę samą nutę nastroili swe dusze, na jaką nakierował i usposobił swoją przed zgonem ów nawrócony herezjarcha. Krzywda na sławie i zbeszczeszczenie niewinnych domaga się ekspiacji, wymiaru sprawiedliwości. „Nie będzie grzech odpuszczony, jeżeli wziątek nie będzie zwrócony"—uczy doktór Kościoła, św. Augustyn.

Miejmy nadzieję, że i te tu uwagi i pouczenia przyczynią się do restytucji, do naprawienia krzywdy, do jaśniejszego, korzystniejszego poglądu na zakony—na osoby i instytucje szczerze Bogu oddane i wobec całego świata zasłużone.

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA K. U. L.

## SPIS ROZDZIAŁÓW


Str.

Wstęp . . . . . 3

I. Jak składają ofiarę? . . . 7

II. Jak nas bronią? . . . . 30

III. Jak miłosierne uczynki spełnia ją? . 46

IV. Jak zakony szerzą cywilizację? . 65

V. Szkoły zakonne . . . . 89

VI. Jak uczą sztuki rządzenia? . . 109

VII. Usterki w zakonach, czyli zarzuty uprzedzonych do zakonów i ich wrogów . . . . . 124